DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII | **Warszawa, 21-28 grudnia 1952** | **Nr 51-52 (369-370)**

W NUMERZE PISZĄ:

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZ — STEFAN LICHAŃSKI — TADEUSZ MAZOWIECKI — STEFAN MARTHA — WITOLD OSTROWSKI — ks. WACŁAW RADOSZ — ZENON SKIERSKI — JERZY STADNICKI — WŁODZIMIERZ WNUK — JANUSZ ZABŁOCKI

Wojciech KĘTRZYŃSKI

Narodziny Miłosierdzia i Nadziei

W CZASIE jednej z najciekawszych rozmów podczas naszej podróży do Francji, na spotkaniu z młodymi księżmi z Mission de Paris i Mission de France — padło pod naszym adresem pytanie: — „jakie cnoty chrześcijańskie wydają się z waszej perspektywy najcenniejsze dla nowoczesnego człowieka?"

Nastąpiła chwila milczenia. Odpowiedź nie wydawała mi się łatwa, gdyż w istocie trudno jest w postawie moralnej chrześcijanina wybierać pewne cechy i wyróżniać ponad inne, gdy wszystkie są między sobą tak ściśle powiązane. Po dłuższej jednak chwili zastanowienia odpowiedziałem, że, jakkolwiek wybor wydaje mi się bardzo trudny, wyróżniłbym przede wszystkim Miłosierdzie i Nadzieję chrześcijańską.

Wśród tak wielu innych ciekawych spotkań i rozmów, to jedno utkwiło specjalnie w mojej pamięci. Może trochę dla tego, że odbywało się w jakiejś specjalnej, niespotykanej atmosferze szczerości i żarliwości. W dużej, pustej, chłodnej i słabo oświetlonej sali, wokół skromnego stołu siedziała skupiona grupka ludzi, świeckich i księży, wszyscy młodzi, wszyscy zmęczeni wyczerpującą całodzienną pracą. Czułem się trochę jak burżuj, wśród ciężko, fizycznie spracowanych ludzi; dziwiła mnie radośnie ich postawa, pozbawiona wszelkiej sztuczności i sztywności w stosunkach między świeckimi i duchownymi. Po krótkiej chwili rozmowa nasza zamieniła się w ogólną, pełną serdeczności i zrozumienia konfrontację chrześcijańskich osiągnięć i nadziei.



Narodziny Chrystusa
Obraz olejny malowany na drzewie szkoły niderlandzkiej z XVI w.

Ale ciepłe te wspomnienia nie są jedyną przyczyną, dla której myśl moja tak uporczywie powraca do tamtych chwil. Niepokoi mnie pytanie postawione przez tego nieznanego księdza o bladej twarzy i gorejących oczach. Trawi mnie potrzeba ponownego przemyślenia naszej odpowiedzi.

Kiedyż należy wrócić do tej sprawy, jeśli nie wówczas, gdy myślimy o dniu Bożego Narodzenia. Bóg stał się człowiekiem, aby nas zbawić. Miłość rodzi Nadzieję. Mesjasz był nadzieją pokoleń Izraela. Chrystus Zbawiciel stał się nadzieją wszystkich dusz chrześcijańskich aż po koniec wieków.

Rok rocznie, od najwcześniejszego dzieciństwa przeżywamy ze wzruszeniem to najpiękniejsze święto roku — Boże Narodzenie. Pozostają nam przede wszystkim w pamięci wrażenia z dzieciństwa. Dobre lub złe dni, chwile codziennych szczęść lub nieszczęść zacierają się szybko w naszych myślach. Godzina oczekiwania na pierwszą gwiazdę, uroczy zapach świeżej zieleni, blask świeczek i świecidełek pozostaje, tak jak pozostaje na zawsze w naszych oczach, postać troskliwej matki i uśmiechnięte oczy ojca w chwili, gdy rozdygotane, dziecinne ręce odnajdują cuda ukryte wśród igliwia. Potem jeszcze dołączają się wspomnienia cichych kroków po skrzypiącym śniegu i potęga pieśni rozpalającej serca — „Bóg się rodzi, moc truchleje..."

To piękne, prawda. Kogóż z nas te obrazy nie wzruszą. Jednak w tym pięknie tkwi najpoważniejsze niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo zatracenia całej duchowej treści tego dnia i zastąpienia jej uroczym bez wątpienia, ale czysto ziemskim, czysto doczesnym obyczajem. Niech chrześcijanie odbiorą tym zwyczajom ich religijną treść i symbolikę, a pozostanie tylko piękny, ale pusty gest. Niebezpieczeństwo stare jak świat i czyhające na chrześcijanina od chwili, gdy postać Zbawiciela znikła Apostołom wśród chmur na niebie, od chwili, gdy pozostali sami i już nie w osobistym obcowaniu z Bogiem, ale w jego Łasce szukać musieli siły uduchowienia. Nie mniej jednak niebezpieczeństwo to tkwi w każdym z nas i dlatego winniśmy sobie przypomnieć, że rodzinne i zaciszne święto Bożego Narodzenia, jest w swej najgłębszej treści dniem Święta Miłosierdzia i Nadziei — w całym Kościele i dla całej ludzkości.

Miłosierdzie.

Zachodząca epoka zdewaluowała to słowo. Postawiła znak równania między miłosierdziem a dobroczynnością, rozumiejąc w dodatku dobroczynność jako metodę uspokajania sumienia bogatych kosztem możliwie najmniej dotkliwych ofiar.

Odnaleźć pełny sens słowa miłosierdzie. Jeśli go zatraciliśmy — nie potrafimy zrozumieć, czym jest miłosierdzie Boga. Jeśli tego nie wiemy — nie potrafimy już kochać człowieka. Wówczas w istocie nie jesteśmy już chrześcijanami. Bo przecież Bóg nam powiedział, że po tym rozpoznać można uczniów Jego, że będą kochać jedni drugich. Jan Ewangelista precyzuje słowa Mistrza, gdy mówi, że ten, kto twierdzi, iż kocha Boga, a nie kocha swego bliźniego — jest tylko kłamcą. „U schyłku życia będziemy sądzeni według miłości" — to piękne słowa świętego Jana od Krzyża.

Spróbujmy jednak stworzyć najściślejszą definicję miłosierdzia. Poszukajmy jej treści najistotniejszej. Ważmy każde słowo z największą dokładnością, stosujmy najdokładniejsze, algebraiczne reguły. Jakiż będzie rezultat tych wszelkich usiłowań? Ostatecznie, w jakiekolwiek środki bylibyśmy uzbrojeni, pozostaniemy również bezradni, jak człowiek, który by chciał przy pomocy najnowocześniejszego mikroskopu zbadać tajemnicę promiennego uśmiechu dzieciństwa.

Tak. Można z łatwością rozebrać każdy motor na części składowe, posegregować je i wyliczyć z drobiazgową ścisłością.

Chemik może dokonać ścisłej analizy każdego płynu, filolog może zbadać każdy tekst i wykryć zawarte w nim interpolacje.

Możemy i musimy znać działanie spraw społecznych i ekonomicznych, musimy znać strukturę społeczeństw i analizować z naukową dokładnością charakter międzyludzkich stosunków. Filozofia i ekonomia, cyfra i wykres — wiedza jednym słowem — otwiera nam powoli dostęp do każdej tajemnicy ludzkiej.

Miłosierdzie jako cnota nadprzyrodzona umyka się naszej analizie naukowej. Ne znaleźliśmy dotąd miary, która by pozwoliła nam je zmierzyć, ani wagi, by je zważyć. Kategorie ludzkie nam tu nie wystarczają. Miłosierdzie, swą tajemnicą dosięga najwyższej tajemnicy naszej wiary — o Bogu w Trójcy Świętej jedynym. Miłosierdzie zawiera w sobie już element boskości. Czynić miłosierdzie, to już uczestniczyć w życiu Zbawiciela, iść Jego śladami.

„Wiara się skończy, Nadzieja również kiedyś się spełni. Miłosierdzie jednak pozostanie wiecznie. Za tysiąc lat, w niebie, nie będziemy już praktykowali, ani cnoty roztropności, ani sprawiedliwości. Ale Miłosierdzie, którym wówczas będziemy obdarzać wybranych, będzie tej samej natury, co to, które się wyraża najnieudolniej, gdy walczymy o dach dla bezdomnych, czy gdy nawiedzamy chorych" (Mons. Rodhain)

Przypomnijmy sobie słowa pierwszego listu świętego Pawła do Koryntian, teksty świętego Jana czy Jakuba, przemyślmy przypowieść o Samarytaninie. Miłosierdzie ukaże się nam w całej swej niezgłębionej prostocie, jako miłość, jako miłość Boga, miłość każdego człowieka dla miłości Boga. Miłość jako dar całego siebie, bez reszty, bez oczekiwania nagrody, bez rozważań, kto jest wart naszej miłości a kto nie. Miłość nie odpłatna, bezinteresowna, twórcza.

Moralność, od której się dziś odcinamy z całą siłą, moralność kapitalizmu, oddzieliła od siebie miłosierdzie i sprawiedliwość. W ten właśnie sposób powstał ów potworek, którego ochrzczono wzniosłym chrześcijańskim imieniem dobroczynności. Nam, katolikom, nie wolno gubić żadnej wartości moralnej. Nie wolno nam też zatracić istotnego sensu dobroczynności, która jest dobrowolnym, szlachetnym darem, ale nierozdzielnym od realizacji sprawiedliwości, która musi wyprzedzać miłosierdzie. Rozdzielając miłosierdzie od sprawiedliwości — moralność świata kapitalistycznego w istocie chciała zabić i jedno i drugie. Przywracając miłosierdziu należne mu miejsce i przypominając, że sprawiedliwość jest nierozłącznym jego towarzyszem — przywracamy ład w naszych sumieniach, otwieramy światu drogę do ładu i postępu. Wchodzimy w ślady Zbawiciela, który będąc samą miłością potrafił być sędzią sprawiedliwym i surowym, gdy tego zachodziła potrzeba.

Tej surowości, harmonijnie opartej na chrześcijańskim miłosierdziu i chrześcijańskiej sprawiedliwości — zbrakło bez wątpienia wielu katolikom w minio-

(Dokończenie na str. 8.)

Zenon SKIERSKI

Jak ubogo narodzony...

SŁOWA nie mają w sobie barwy, a barwy nie mają w sobie soku! Wszystko to było naprawdę i wszystko opowiedziano nam już po tysiąc razy, a jednak nic nie wiem, ciągle nie pamiętam...

Nie pamiętam, czy już wtedy gwiazda Magów stanęła nad szopą i nie pamiętam, w jakim momencie zjawił się ten wspaniały pochód władców ze Wschodniej krainy — król etiopski o ciemnej twarzy sunący na białym koniu, za nim król Eufratu czy Tygru na czarnym ino chodzie, za nimi pochód wielbłądów, zastępy sług, ich głosy w cichą noc...

Ta licha szopa o deskach szarozielonych ze starości ma zarwany dach, o! nawet widać dwie spróchniałe tarcice zapadnięte do środka nad żłobem. Deszcze pewnie nie raz ściekały po nich do wnętrza. Na pogodne noce izraelskie wystarczy jednak i taka stajenka.

Siwy wół o długich rogach odwrócił się właśnie od żłobu i patrzy pięknymi, powolnymi oczami na to, co się za nim dzieje. Osiołek o płowej, gładkiej skórze, bardziej od niego porywczy i ciekawy, odsunął się od jadła, zawrócił i pochylił łeb do samej niemal ziemi, jakby chciał powąchać to dziwne stworzenie, które złożono w jego żłobie pośrodku małej izby na podściółce z siana.

Kobieta, która jeszcze przed chwilą usługiwała w gospodzie zamożnym podróżnym, przyszła, by doglądać tej młodej matki. Dźwignęła właśnie cebrzyk z wodą i wyprostowała się, gdy osiołek zastąpił jej drogę. Krzyczy więc na niego. Ach, dobra kobieto, która nawet nie wiesz, kogo owinęłaś pieluszkami parę godzin temu — nie gniewaj się na to poczciwe zwierzę! Być może, że ono rozumie w tej chwili więcej, niż przypuszczasz. Dobroć twoja i tak będzie policzona. Gdybyś wiedziała o tym, że król świata urodzi się w nieuprzątniętej stajni twojego zajazdu i że ty właśnie będziesz świadkiem tego zdarzenia — może byś w tej chwili nie miała w sobie tej prostoty i radości. Nie znam twojego imienia, nie znają go również historycy i malarze, a jednak mimo otwartych ust, z których dobywasz niegniewny, półżartobliwy krzyk na pierwsze zwierzę, z jakim spotkały się oczy małego Jezusa — widzę pogodę i dobroć w twej twarzy. Jesteś pogodna z natury i wesoła, czterdzieści lat już ci przeszło, a pośród nich wiele, wiele twych gestów oddanych było czynom dobroci przygotowywałaś posłanie dla — przejezdnych, dawałaś im jedzenie, sery, mięsa, owoce, i nalewałaś odstałe, dobre wino do miedzanych kubków, a często zwykłą wodę z glinianych dzbanów.

Twoje czarne włosy, gładko rozczesane na środku głowy i splecione w ósemkę z warkoczy, połyskują w tej chwili, biorąc połysk od trzech kaganków zawieszonych pod stropem izby. Pod śniadą szyją masz skromne korale, widać je w wycięciu twej sukni, prostej sukni koloru trawiasto-oliwkowego, mającej zaledwie dwa szwy po bokach i przepasanej żółtym fartuchem gospodarskim. Ręce twoje trzymające cebrzyk są duże, lecz kształtne, na prawej widzę nawet pierścionek z berylem; który odcina się zielonym oczkiem od koloru śniadych rąk, ciemnych jak przypieczona skórka chleba

Zatem, proszę cię, nie krzycz na poczciwe zwierzę, i tak jego los w twoim kraju nie jest godny pozazdroszczenia. Zatrzymaj się lepiej na chwilę i tak stój bez poruszenia profilem do mnie, głowę lekko odchylając do tyłu...

Gdybyś się bowiem obejrzała w tym momencie, dostrzegła byś tuż poza sobą, twoją służącą, Rut czy Jezabel, jak klęknąwszy nagle przy tym nadgryzionym żłobku, ręce złożyła z zachwytu i uśmiecha się, może cmokta radośnie do maleństwa na sianku, które przecież i tak nic z tego nie widzi, gdyż śpi smacznie i ślicznie. Ta twoja służebna, ileż ona ma lat, szesnaście, osiemnaście? Przecież to młoda dziewczyna jeszcze, ale oto instynkt macierzyński obudził się w niej nagle, instynkt dobroci, potrzeby pieszczot, poświęcania się, oddawania komuś serca... Piękna z niej dziewczyna, dobrze zbudowana, okrągła, i czerstwa, choć na smagłym jej obliczu nie znać tak dokładnie rumieńca Ma na sobie prostą, jakże piękną jednak suknię koloru fiołków parmeńskich, mimo iż oczywiście, nie zna ona tej nazwy. Ja ją jednak znam i takie właśnie miano nadaję tym fałdom bogato spiętrzonym dokoła kolan i u krawędzi żłobka, połyskującym odcieniem malinowym, to znów opadającym w zagłębienia ciemnym tonem wina czerwonego, z wierzchu rozjaśnia je blask kaganków w matowy i delikatny połysk płatków głogu. na tych fałdach, na kolanach, złożyła małe, smagłe ręce, bynajmniej nie przypominające spracowanych rąk dziewczyny z zajazdu. Klęczy tak, coś szczebiocąc do maleństwa, i ten jej uśmiech jest tak szczery, że wprost zamienia się w jakiś połysk, który promieniuje aż do jej czoła szerokiego i gładkiego, do włosów spiętych wysoko, w węzeł nieco zalotnie, do pochylenia wiotkiej szyi, która jakby ugina się pod ciężarem tej bujnej fryzury.

Dziewczyna chciałaby pewnie obudzić maleństwo śpiewem, czy śmiechem, może chce mu zaśpiewać kolendę. Ależ Jezabel, dziecko śpi! Proszę cię, nie mów nic, nie ruszaj się, poklęcz tak jeszcze chwilę...

Przez ten czas pomyśl lepiej nad tym, że nie doprowadziłaś do całkowitego porządku tego dziwnego obejścia. Tuż za tobą na przykład, z lewej strony — siano rozrzucone po glinianej, brązowej polepie, dalej snop słomy pod ścianą, widły i grabie oparte o deski stajenki, powróz skręcony zwisa z belki, jakiś skopek gliniany blisko twej lewej stopy. To wszystko nagromadziło się w ciągu kilku ostatnich godzin, ale czas by już pomyśleć o porządku. Nie możesz bowiem nawet przewidzieć jacy tu goście wkrótce przyjadą. Zastanów się jednak: przecież ta stajenka nie ma w ogóle jednej ściany, wchodzi się do niej wprost z podwórza czy z drogi. Ale to nie ja wyjąłem te deski, naprawdę! i nie dlatego stajenka jest tak otwarta, aby lepiej było pokazać każdemu, co się dzieje pod jej ubogą, zmurszałą strzechą. I nie dlatego również, aby każdy mógł rzucić ciekawe spojrzenie do środka. Ja bowiem spoglądałem wprawdzie okiem ciekawym i pełnym przyjaźni, ale jest tu przecież ktoś inny, tu, na lewo, za mną, kto osunąwszy się za węgieł szopy, napełniony jest w tej chwili tragicznym bólem...

Nie, nie powiem ci, kim on jest, lęk by cię zdjął ogromny. Lepiej klęcz tak, jak klęczysz — wyglądasz bowiem niczym posąg radości i zdrowia.

MATECZKO Najświętsza! Jeżeli do tej pory zajmowałem się wołem i osłem, obiema kobietami, sianem, polepą i jakimiś drobiazgami w tej dziwnej scenerii, jeżeli zwróciłem uwagę na dwie deski zerwane w dachu, nie mówiąc już o pajęczynach, których jest tu na pewno bardzo wiele, to dlatego tylko, że nie śmiałem nawet spojrzeć w Twoją stronę! A przecież jesteś tak piękna i tak macierzyńska. Usiadłaś przed chwilą na niskim stołeczku, jakże wdzięczna w tej czarnej matowej sukni z grubego samodziału i w zawoju na głowie tak seledynowym, jak młodziutkie listki łubinu. W Twojej szacie jest wprawdzie coś surowego, jak w postaciach wieśniaczek hiszpańskich, ale w Twej twarzy przecież i w Twym spojrzeniu jest całe uśmiechnięte niebo. Patrzysz łagodnie i szczęśliwie pod stopy, w tę przedziwną kolebeczkę z prostych desek, którą dotykasz niemal kolanami. Twarz Twoja jest pociągła i blada i pełna wzruszającego uniesienia, ale zarazem jakże żywego, choć zatajonego lęku przenikającego Ciebie, ach, nie tylko Ciebie!...

Pozwól mi jednak przypatrzeć się Tobie, wszak wiesz, jak bardzo pragnąłem i pragnę choćby jeden raz Cię zobaczyć! Tyle jest jednak we mnie pospolitości, że patrząc na Ciebie, nie mogę teraz o niczym innym myśleć, tylko o tym, jak wyglądasz. Jest to śmieszne, oczywiście, i świadczy o umiłowaniu pozorów. Bo cóż mnie interesuje właściwie w tym momencie? To, że Twoja tunika jest czarna i matowa, jak sadza a odblask trzech kaganków uwypukla fałdy tej szaty i dodaje im czegoś z barwy granatu, to znów z połyskliwości gładzonego hebanu. Że Twój welon młodo-zielony, opadający miękko na ramiona, ma w sobie żywość rośliny i gładkość porannego nieba, to znów w załamaniach połyskuje odcieniem turkusu. Że brwi Twe na czole gładkim — gładkim i zlekka wypukłym są niczym dwa delikatne pióra młodej jaskółki, a oczy w pół przymknięte nakryte są powiekami dużymi i ciemnymi jak połówki orzecha. Że twarz Twoja jest pociągła, a wargi małe jak u dziecka i w kącikach tak lekko uśmiechnięte, jakby to jakiś wiew słodki, brzęk pszczół, woń kadzidła, blask, pieśń, gwiazda, kwiat sasanki zabłąkany na chwilę wśród piaszczystej drogi do Betlejem...

O, Panienko czystej miłości! Widzisz jak puste jest moje serce — ciekawi mnie tylko forma zewnętrzna tego świata i nie mam w sobie dość pokory, aby zrozumieć, że poza barwą, kształtem i światłem istnieje życie daleko piękniejsze i głębsze, a my?... Grube mamy zmysły. Nie można jednak zrywać ze światem, on nas bowiem wydał, i jakże przytem jest barwny i piękny!

W tej postawie dziewczęcej, lekko pochylona, prawym ramieniem nieznacznie skłaniając się do kołyski, gdy drobne białe ręce składasz na podołku czarnej szaty — jesteś nie tylko zachwycającym obrazem, dla którego nie mam dość olśniewających i soczystych barw. Między Twoim sercem a tą kołyską z grubych, nadgryzionych desek, a moim sercem i tym Dzieciątkiem, które tam śpi — istnieje cały dramat ludzkiej małości i ludzkiego upadku. Jestem w tej chwili, jak to oto zwierzątko ciekawe, które tuż przy Tobie zniża głowę, by zobaczyć zbliska, powąchać, poznać grubymi zmysłami. Przepraszam Cię najmocniej za to porównanie, i za moje gadulstwo także...

Czy mały śpi? Śpi. Nie śpiewaj, Jezabel, kolendy, nie cmoktaj, nie szczebiocz.

Popatrz na tę buzię, drobniutką, różową, jeszcze mało foremną, a tak cudownie spokojną. Rączki bezładnie rzucone na białe powijaki, maleńkie drobne paluszki, niczym pręciki jakiegoś szlachetnego kwiatu. Czy nie zaziębi się mały? Ależ nie, ciepłe są noce betlejemskie. To jedno ramię odsłonięte spod chusty i ta główka gładziutka, jeszcze różowa, niby jakiś owoc dojrzały — oto Pan świata! Śpi. Pierwszy sen dziecka nowonarodzonego. Pierwszy sen w obliczu tego świata, który tyle zgotuje mu boleści...

Ale dziecko nic jeszcze o tym nie wie w danym momencie, przynajmniej ja pragnę najgoręcej, aby nic jeszcze nie wiedziało. Wszak uśmiecha się przez sen! O, chóry aniołów, maleńkie, niewidzialne aniołki, które w tym śnie śpiewacie Mu głosami fletów i okaryn — nućcie! Sypcie, kołyszcie sen miękki, różowy, świetlisty! Sypcie oddechy radosne i świeże oddechy kwietne, lesiste i wodne! Niech się uśmiecha nadal Dzieciątko. Uśmiecha się! Nawet tymi powiekami maleńkimi! Cicho, ciszej, aniołki niewidzialne! Nućcie półgłosem, łagodnie...

Tobie, o Panienko, dana jest w tej chwili radość matki — niech jej nic nie mąci. W tym cichym — cichym kącie poza dziedzińcem gospody, w której posnęli już goście przejezdni — staje się chwila, która pozornie nie jest niczym innym, jak ludzką sceną ludzkich narodzin: po prawej siwy wół, bliżej śniady osiołek ze schyloną głową, przed nim gospodyni w sukni oliwkowo-zielonej, za nią Jezabel w sukni fiołkowej, przed nią młoda matka, u stóp jej żłóbek — ach! w tej elipsie zwierząt, ludzi i Boga — tylko pokorny blask trzech kaganków, trzech, jak wiara, nadzieja i miłość, i te niewyszukane barwy podające sobie refleksy, i te uśmiechy, dziewczyny, dzieciątka i matki, półcienie w głębi szopy, słoma, widły, naczynie gliniane, polepa brązowa i nierówna, nad nimi różowy blask kaganków — o ludzkie wymiary wielkich spraw!

(Dokończenie na str. 4).

Oświadczenie Episkopatu

Episkopat Polski zabierając głos w sprawach publicznych czyni to w duchu posłannictwa Kościoła, który zobowiązuje wiernych do przestrzegania wskazań moralności chrześcijańskiej, zarówno w życiu osobistym jak i społecznym.

Jak doniosła Polska Agencja Prasowa, zostały ujawnione w Kurii Krakowskiej wykroczenia przeciwko obowiązującym przepisom walutowym, i toczy się śledztwo o udział niektórych pracowników Kurii w działalności wrogiej interesom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Episkopat stwierdza, że udział katolików, a tym bardziej Duchowieństwa w akcji podziemnej i w dywersji gospodarczej jest nie tylko sprzeczny z dobrem Narodu, ale również szkodliwy dla działalności Kościoła Katolickiego w Polsce.

Stwierdzając powyższe Episkopat zastrzega się również przeciwko tendencjom obcej propagandy, usiłującej uczynić Kościół w Polsce terenem i narzędziem politycznej działalności antypaństwowej.

Ta linia postępowania powinna obowiązywć wszystkich katolików, tak Duchownych jak i świeckich.

Kierując się tymi zasadami Episkopat poczuwa się do obowiązku współdziałania w umocnianiu moralności społecznej tak niezbędnej dla niepodległości i dobrobytu Polski.

W imieniu Episkopatu
BISKUP ZYGMUNT CHOROMAŃSKI
SEKRETARZ EPISKOPATU

Warszawa, dnia 12 grudnia 1952 r.

CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM NASZEGO PISMA

SERDECZNE ŻYCZENIA Z OKAZJI ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA

SKŁADA

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

Ks. biskup Franciszek Jopp wikariuszem kapitulnym archidiecezji krakowskiej

W związku z ujawnieniem w Kurii Krakowskiej przestępczej działalności i toczącym się śledztwem o udział odpowiedzialnych pracowników Kurii w działalności wrogiej interesom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, która to działalność potępiona została w oświadczeniu Episkopatu, kapituła archidiecezjalna wybrała w dniu 13 bm. ks. biskupa dr Franciszka Joppa wikariuszem kapitulnym archidiecezji krakowskiej. Ks. Biskup Franciszek Jopp był dotychczas biskupem sufraganem diecezji sandomierskiej.

Stefan LICHAŃSKI

Boże Narodzenie

Jako pragnie jeleń do źródeł wodnych, tak pragnie dusza moja do Ciebie, Boże (Psalm XLI,2).

Zcodziennego życia obudzić się nagle. Pod stopami chrzęszczący śnieg, nad głową wyiskrzone mrozem gwiazdy, a wokół ciemność i mroźny podmuch wiatru.

Dokąd ma teraz udać się wędrowiec? Czego szukać? Co uczynić? „Jako wyszedł nagi ze żywota matki swej, tak się wróci: a nic nie weźmie z sobą z prace swojej. Żałosna zgoła niemoc jako przyszedł, tak się wróci. Cóż tedy mu pomoże, że na wiatr pracował? Po wszystkie dni żywota swego jadał w ciemności i w frasunku wielkim i w kłopocie i w smutku“ (Eccl. V,14 — 16).

Ważysz sprawy swojego życia. Jak pył i plewy rozwiewa je mroźny wiatr. Rozsypują się w mroku, jak by ich nigdy nie było. Pozostajesz gdzieś na skraju, gdzieś już za murami miasta. Samotna, opuszczona ruina w głuchym polu, zdala od ludzkich siedzib, zbyt licha, by dać schronienie komukolwiek.

„Panie, nie w zapalczywości Twej strofuj mię, ani w gniewie Twoim karz mię.

Zmiłuj się nade mną, Panie; bom ci chory: uzdrów mnie, Panie; boć strwożone są kości moje“ (Psalm VI, 2—3).

„Jako pragnie jeleń do źródeł wodnych, tak pragnie dusza moja do Ciebie, Boże“.

Wigilia — czuwanie nocne. Wigilia — nabożeństwo nocne.. Ale przecież może być i inna wigilia: wigilia — wilia, nasza tradycyjna wilia, o której mówi poeta:

A przeto krzyknij już, że w Betlejemie
Bóg się narodził.. i że więc co roku.
Cieszą się ludzie— zaś niebicj w ciemię
Jadają sporo na sianie o zmroku
Pod rozżarzonej konstelacji znakiem,
Jadają ryby, miód i kluski z makiem.

Jadają ryby, a więc potrawę postną ze względu na swego Boga, który dla nich się narodził. Jadają sporo, ale przecież także palą świeczki na choince, śpiewają kolendy, a po skończonej wieczerzy idą na Pasterkę, chociaż jest bardzo zimno, a w kościele będzie odświętny tłok.

Bóg urodził się w Betlejem około dwóch tysięcy lat temu. Umarł i po trzech dniach zmartwychwstał. Nauką swoją i śmiercią zbudował Kościół. Jesteśmy członkami tego Kościoła. Ten Kościół jest *nasz*, ten Kościół jest *dla nas*. Ma on być dla nas bramą do społeczności zbawionych. Ale czy jest także w nas? *„Co się narodziło z ciała, ciało jest, a co się narodziło z Ducha, duch jest“* (Św. Jan, III,6).

Wierzymy, że cud betlejemski dokonał się dla nas, ale czy się dokonał także *w nas*? Wszak mówi Ewangelista: *„Potrzeba się wam narodzić znowu“* (Św. Jan, III,7). Czy dojrzeliśmy do tych nowych narodzin, do narodzin z ducha? Czy w chwilę najcichszą, w chwilę najgłębszego skupienia, w chwilę modlitwy-rozmowy z Panem — zanika w naszej duszy wszelkie pożądanie związane z własnym „ja“, by ustąpić temu głosowi, który z najtajniejszych głębin duszy woła: *„jako pragnie jeleń do źródeł wodnych, tak pragnie dusza moja do Ciebie, Boże“?*

Noc wigilijna — noc legendy. Dla iluż z nas noc betlejemska jest legendą! Legendą o ubogiej stajence, o wole i osiołku, o klęczących stadach owiec, o spieszących z darami pasterzach, o fruwających tuż nad ziemią, jak wielkie tęczoworskrzydłe ptaki, aniołach. Piękna jest legenda wigilijnej nocy. Tak piękna, że zwiedzeni jej poetyckim urokiem możemy na rzecz legendy przeoczyć fakt.

Dziedzina legend znajduje się ponad i poza rzeczywistością.. Nie ma jednak legendy, która mogłaby wznieść się ponad rzeczywistość tego co wydarzyło się w Betlejem. Każda legenda może być w tym wypadku, tylko poetyckim komentarzem, fantastycznym ornamentem dodanym do faktów. Legenda może przybliżać fakt, czynić go łatwiejszym do przyjęcia — i to jest jej wielka wartość. Może ona jednak także zacierać jego kontury, rozwiewać w mgłę poetyckich metafor jego prosty i jednoznaczny sens — i na tym polega jej niebezpieczeństwo.

Niebezpieczeństwo legendy wigilijnej kryje się w stwarzaniu perspektywy oddalającej i upoetyczniającej zdarzenie wciąż żywe, wciąż aktualne, wciąż zobowiązujące. Bóg się narodził! Narodził się nie dla owieczek, wołu i osła, nie dla stworzenia tradycji wigilijno-choinkowej, nie dla dostarczania tematu poetom i kaznodziejom. Bóg się narodził — i odkupił człowieka. Bóg się narodził — i uświęcił człowieczeństwo. *„Potrzeba się wam narodzić znowu“*. Surowy nakaz brzmi w tych słowach, zapisanych w ewangelii Jana, w ewangelii Orła. *„Potrzeba się wam narodzić znowu“*. Nie wystarcza, abyśmy pamiętali, że kiedyś narodził się Bóg. Trzeba, abyśmy spełnili Jego narodzenie — w sobie, abyśmy doznali całą pełnią duszy rzeczywistości istnienia Jego w nas: *„Jako pragnie jeleń do źródeł wodnych, tak pragnie dusza moja do Ciebie, Boże“*.

*

Obudzić się z troski o siebie samego, z chrześcijaństwa pojmowanego jako tylko spełnianie przepisów i wysługiwanie sobie miejsca w niebie. *„Potrzeba się wam narodzić znowu“*. Potrzeba się nam narodzić z Ducha. Potrzeba nam odczuć jako najistotniejszą treść własnej duszy tchnienie żywe, przychodzące od Tego, Który jest, Który był, Który będzie.

Ostatecznie więc: obudzić się z własnego „ja“. z jego urojeń, przywidzeń, pragnień i pożądań, z jego „woli mocy“ i miłości własnej, aby obudzić w sobie świadomość sił i praw ponadimmanentnych a przecież działających z owego najtajniejszego centrum naszej istoty, przez które związani jesteśmy z żywiołem transcendencji, z żywiołem Bożym. Ostatecznie więc: pojąć własne „ja“ nie jako fakt sam w sobie, skończony już i gotowy, ale jako swoje zadanie i swoje dzieło, które nie własnymi tylko siłami i nie dla siebie tylko wypełnić mamy: *„Rolą Bożą zoraną jesteście, budowaniem Bożym jesteście“* (I do Koryntian, III,9).

Obudzić się do świadomości, jak bardzo, jak niezmiernie bardzo nie wystarczamy sami sobie, aby nie przemieniać w święto wzruszających wspomnień i idylicznych marzeń święta największej nadziei i największej tęsknoty, tęsknoty za narodzeniem się na nowo z Ducha:

„Jako pragnie jeleń do źródeł wodnych, tak pragnie dusza moja do Ciebie, Boże.

Pragnęła dusza moja do Boga, mocnego, żywego: Kiedyż przyjdę a okażę się przed obliczem Bożym?“.



Velasquez — Matka Boska z dzieciątkiem. (fragment obrazu „Pokłon Trzech Króli“

Prymas Polski Kardynałem

Dnia 29 listopada Ojciec Święty mianował 24 nowych kardynałów. Nominacja ta zostanie potwierdzona na konsystorzu w dniu 12 stycznia 1953. Wśród nominatów znajduje się Prymas Polski, Ks. Arcbp. S. Wyszyński.

Ks. Kardynał Wyszyński urodził się 3.VIII.1901 w Zuzeli, pow. Ostrów Mazowiecki. Święcenia kapłańskie otrzymał w roku 1924 we Włocławku. Studia uniwersyteckie odbywał na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie też otrzymał stopień doktora prawa kanonicznego. Po odbyciu studiów uzupełniających w Rzymie objął stanowisko profesora w Seminarium Duchownym we Włocławku, a następnie został również redaktorem wychodzącego tam „Ateneum Kapłańskiego“. W okresie okupacji przebywał na Lubelszczyźnie i w Laskach pod Warszawą.

Po wyzwoleniu wraca ks. Wyszyński do Włocławka, gdzie obejmuje stanowisko regensa tamtejszego Seminarium Duchownego. W roku 1946 zostaje biskupem-ordynariuszem diecezji lubelskiej. W roku 1948, po śmierci śp. kardynała Hlonda, Stolica Apostolska mianuje ks. biskupa Wyszyńskiego Arcybiskupem Gnieźnieńskim i Warszawskim. W okresie Jego rządów dokonał się pionierski dla Kościoła akt Porozumienia między Episkopatem a Rządem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Nominacja ta wypełnia w części lukę reprezentacji polskiej w Kolegium Kardynalskim. Wiadomo bowiem powszechnie, że osiągnęliśmy już zwyczajowe prawo do dwóch miejsc w Św. Kolegium.

Narodziny Miłosierdzia i Nadziei

(Dokończenie ze str. 1)

nym okresie w ich sądach nad problematyką społeczną. W ten sposób egoizm brał górę, odcinaliśmy się od świata, odcinając się jednocześnie — od przykładu Zbawcy.

I wreszcie nadzieja. Czy nie jest charakterystyczną cechą naszej ludzkiej słabości, że oczekujemy spełnienia się w naszych oczach już zaraz tego, co było obietnicą daną całej ludzkości, że oczekujemy, z zapomnieniem o drodze ku temu wiodącej. Gdy Chrystus wzniósł się ku niebu — Apostołowie stali i czekali, jakby miał zaraz do nich wrócić. I od tej chwili chrześcijaństwo nurtuje wieczny niepokój, wieczne oczekiwanie. Nadzieja mieści się całkowicie w tym oczekiwaniu ale domaga się od nas, byśmy oczekując powrotu Pana, nie zaniedbywali tego, co nam zostało na ziemi powierzone. Przypowieść o talentach jest upomnieniem zarówno w płaszczyźnie duchowej jak i doczesnej. Jeśli tak często spotykamy się z zarzutem, że wiara katolicka każe człowiekowi wyrzekać się ziemi przez wzgląd na niebo — to w tej krytyce mieści się w pełni oskarżenie o to, że nie żyjemy w pełni chrześcijańską cnotą nadziei. Gdyby tak bowiem było, wiedzielibyśmy wówczas, że ta sama nadzieja, która każe nam nie wątpić w miłosierdzie Boże w niebie, każe nam również nie wątpić w jego miłosierdzie i tu, w doczesnym porządku naszego istnienia. Stąd też chrześcijanin, który całym życiem nie realizuje dobra na ziemi, który nie przyczynia się do postępu kultury, cywilizacji, do sprawiedliwszego ustroju, do pomnażania dobrobytu, do zmniejszenia nędzy i ulżenia niedoli — nie jest chrześcijaninem. Nie kocha bowiem człowieka i nie widzi w nim objektu miłości Boga. Brak Nadziei, powoduje więc skolei brak Miłości.

Tak krąg się zamyka.

Święto Bożego Narodzenia nie może więc być dla nas tylko dniem domowej radości. Nie zapominajmy, że tych, którzy domu nie mają jest w dalszym ciągu na świecie zbyt wielu. Nie zapominajmy, że na miliony liczą się ci, którzy mając rodzinę a może nawet i dach nad głową — nie mają i nie mogą mieć wokół siebie atmosfery świątecznej. Jeszcze ciągle nasze osobiste szczęście osiągamy kosztem zamykania oczu na potrzeby innych, naszych braci. Dopiero wy trwały, nieprzerwany wysiłek twórczy narodów, budujących ustrój sprawiedliwy, mogą ten stan rzeczy odmienić.

Myślę o tamtej rozmowie w ciemnej i chłodnej sali paryskiej. Myślę o wszystkich katolikach którzy rzeczywiście próbują codziennym życiem realizować przykazanie miłości bliźniego, którzy chcą dla tego bliźniego budować własnymi rękami lepszy świat, i w wypełnianiu tego najprostszego obowiązku nie wynoszą się ponad innych. Jeśli Bóg swemu Kościołowi powierzył tajemnicę zbawienia, to nie powierzył nikomu indywidualnie tajemnicy realizowania lepszej przyszłości na ziemi. Jesteśmy więc zobowiązani, wraz z każdym człowiekiem, który pragnie lepszej przyszłości stawać wspólnie na rusztowaniach pokoju i dobrobytu.

Myślę o tych katolikach Francji, którzy na tych rusztowaniach śmiało stanęli, dając przykład całemu światu katolickiemu. I myślę o zadanym nam pytaniu i o naszej odpowiedzi.

I dochodzę do wniosku, że wówczas, wspólną pracą, nie odkryliśmy nic nowego. Przypomnieliśmy sobie po prostu to, co zawsze, odkąd światło zabłysło nad betlejemską stajenką, było drogowskazem chrześcijańskim. Bóg stał się człowiekiem, by nas zbawić. Miłość zrodziła Nadzieję. I my, codziennie, miłością winniśmy rodzić nadzieję. Wszędzie, zawsze, w każdych okolicznościach. Aż po spełnienie się wieków.

Wojciech Kętrzyński



Konrad von Göst — Narodziny Chrystusa (ok. 1420)

ks. Wacław RADOSZ

KOŚCIÓŁ
w granicach przestrzeni i czasu



Kościół
Rzeźba z katedry w Strassburgu

DLA katolika, zdającego sobie sprawę, że pojęcia Chrystusa i Kościoła są w pewnym sensie zrównane i zamienne, nie ma chyba większego uznania niż to, które pośmiertnie wyrażono wielkiemu społecznikowi, biskupowi Genewy, kardynałowi Mermillod. Na grobowcu jego w Rzymie, w kościele św. Wawrzyńca, położono napis: Dilexit Ecclesiam — umiłował Kościół.

TRAGIZM KOŚCIOŁA

Miłość, jaką wierni żywią dla Kościoła nie jest pozbawiona akcentów tragizmu. Tragizm ten ma swoją podstawę w podwójnym obliczu Kościoła: boskim i ludzkim, ponadczasowym i ziemskim. Wprawdzie i Chrystus, sam twórca Kościoła, jednoczył w sobie pierwiastki boskie i ludzkie, elementy te jednak były w Nim zharmonizowane ze sobą. W Kościele tej harmonii nie ma, to co boskie natrafia na nieustanne przeszkody w ułomności ludzkiej i na tym polega tragizm bynajmniej nie przygodny, ale towarzyszący istocie Kościoła, mający trwać aż do momentu, kiedy w obcowaniu świętych nie będzie już zadość cierpiących i pielgrzymujących, a sami tylko triumfujący. W warunkach ziemskich jednak do istoty Kościoła należy nie tylko Boży kwas, ale i ziemska mąka, nie tylko grzeszny i niedoskonały pierwiastek ludzki, ale i święty pierwiastek Boży.

NIEZMIENNA STRUKTURA KOŚCIOŁA

Istnieją w Kościele elementy istotne, nietykalne, których Kościół nie mógłby utracić pod grozą samozniszczenia. Nazywać je będziemy strukturą Kościoła. Ta niezmienna struktura jakkolwiek zawsze była żywa w świadomości katolików, bo objawiona przez Boga, ostateczne swe dogmatyczne sformułowania znalazła na Soborze Watykańskim (1870 r.). Określono tam precyzyjnie zdania zawarte w objawieniu Bożym, a odnoszące się do nieomylnego urzędu nauczycielskiego w Kościele, hierarchii rządzącej Kościołem i prymatu biskupa rzymskiego.

To są cechy istotne, niezmienne Kościoła. Nie znaczy to jednak, by nie zachodziły w Nim zmiany nieistotne. Owszem takie akcydentalne zmiany są nawet konieczne, boć przecież Kościół jest organizmem żywym i do istoty Jego należy rozwój, wzmacnianie się i wzrost w ramach zmiennego świata zewnętrznego.

W związku z zagadnieniem niezmienności Kościoła i jego rozwoju w czasie, pozostaje zagadnienie dochowania wierności wobec Kościoła.

DWA RODZAJE WIERNOŚCI

O. Yves Congar w słynnej już obecnie książce „Prawdziwa i fałszywa reforma w Kościele" głosi zasadę, że wierność względem chrześcijańskiej rzeczywistości może być wiernością dla stanu aktualnie osiągniętego, dla form tej rzeczywistości obecnie ustanowionych, słowem, wiernością dla jej teraźniejszości, ale może być także wiernością dla jej przyszłości. Między tymi dwoma rodzajami wierności istnieje współobcowanie, ciągłość i harmonia.

Te zdania mogą być prawidłowo zrozumiane jedynie w świetle nauki o rozwoju dogmatów, które choć niezmienne co do swego znaczenia, są coraz jaśniej rozumiane. Wybieganie więc myślą w przyszłość jest zarazem najpełniejszym wyciąganiem wszelkich konsekwencji z przeszłości, z objawienia Bożego. Nie jest to poszukiwanie nowych form struktury kościelnej, ale nowych form życia i współżycia ze światem. Do tych dążności Kościół odnosi się z ostrożną rezerwą, będącą wynikiem wiekowego doświadczenia i mądrości. Ludzie jednak należący do Kościoła, poczuwający się do zbiorowej odpowiedzialności za ten żywy organizm mistycznego Ciała Chrystusowego, muszą pilnie strzec się pokusy przywiązania do form już zastygłych, które pozbawione treści i wewnętrznego ognia tworzą skorupę przeszkadzającą świeżym porywom duchowym.

Ułomność pierwiastka ludzkiego w Kościele skłonna jest do zgodzenia się na pokusę, którą Congar nazywa pokusą Synagogi. Synagoga bowiem jest przykładem przywiązania do zewnętrznego rytuału i mesjanizmu nacjonalistycznego z zamknięciem serca na wołanie Boże.

POSŁUSZEŃSTWO

Z zagadnieniem wierności dla Kościoła związany jest problem posłuszeństwa. Posłuszeństwo jest olbrzymią siłą Kościoła, a zważywszy dogmat o nieomylnym urzędzie nauczycielskim, jest najsłuszniej od wiernych wymagane. Doktryna dogmatyczna ogranicza to wymaganie do spraw związanych z celem Kościoła religijnym, nadprzyrodzonym.

Leon XIII nazwał Kościół „dux hominibus ad coelestia" — wodzem ludzi dla spraw niebieskich i w encyklice swej o Kościele wyraźnie wskazał, że nie jest rolą Kościoła mieszanie się do spraw państwa, albo przywłaszczanie sobie ziemskich uprawnień rządu. Nie mniej jednakże są w Kościele ludzie, popełniający błąd, który można by nazwać „nadużyciem posłuszeństwa". Ma to miejsce nie tylko w dziedzinie dyscyplinarnej, ale nawet doktrynalnej. Boleje nad tym tej miary teolog, co J. Mausbach († 1931), a wypowiedź jego, tak zdaje się trafna słynnemu dogmatykowi B. Bartmannowi, że przytacza ją (Lehrbuch der Dogmatik, II, 162), jako ostrzeżenie przeciwko tym, których moglibyśmy nazwać integrystami katolickimi.

„Liczne wypowiedzi papieży mimo ich religijnego charakteru i formy uroczystej nie są rozstrzygnięciami ex cathedra, encykliki przeważnie zawierają nauki, przestrogi, ojcowskie upomnienia, bez zamiaru definiowania dogmatycznego... Jasne rozróżnienia są tu konieczne również w tym celu, aby utemperować przesadę niektórych teologów, którzy słabo orientując się w historyczno-kościelnej rzeczywistości, pragnęliby rozciągnąć przywilej nieomylności na wszelkie enuncjacje władzy papieskiej, nie wyłączając urzędu pasterskiego, nie bacząc zaś na to, że przynoszą przez to Kościołowi i papiestwu więcej szkody niż pożytku".

KLASYCZNY PRZYKŁAD

Znany dogmatyk, O. Dunin Borkowski (Religion, Christentum, Kirche, 1913, 489 Esser-Mausbach), stara się naświetlić to zagadnienie na przykładzie bulli Bonifacego VIII, noszącej tytuł „Unam sanctam". Papież ten w ogniu walki o wolność Kościoła zwołał w roku 1302 Synod do Rzymu i wydał dogmatyczną bullę o uprawnieniach władzy świeckiej i duchownej. Mylił by się jednak, kto by sądził, że ta bulla dogmatyczna nosi charakter nieomylności w całej swej treści. Wartość dogmatyczną ma tylko jedno zdanie: *„Porro subesse Romano Pontifici omni humanae creaturae declaramus, dicimus et definimus omnino esse de necessitate salutis".* Zdanie to ma charakter uroczysty, podkreśla wolę ostatecznego zdefiniowania przez wyrażenia: *„wyjaśniamy, oznajmiamy i określamy, że dla wszystkiego stworzenia* (tzn. wszystkich ludzi, a więc i monarchów — przyp. aut.) *jest do zbawienia konieczne podleganie rzymskiemu biskupowi".* To posłuszeństwo odnosi się oczywiście do spraw związanych z religią.

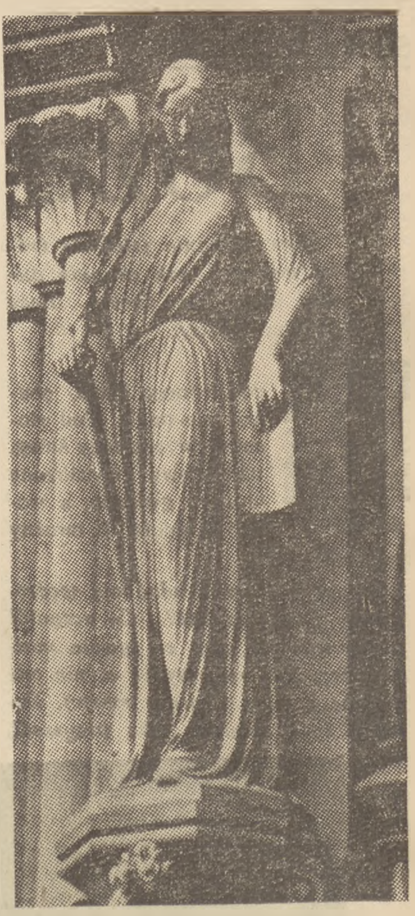
Wszystkie natomiast wywody wstępne bulli i uzasadnienia, są wyrazem jedynie ówczesnych mniemań prawników kościelnych, refleksem obyczajów średniowiecznych. Wywody te miały wartość czasową, związaną wyłącznie z epoką w której były ogłoszone.

O. Dunin Borkowski, w zakończeniu swych wywodów, odwołuje się do analogii Chrystusa, podającego pomocną dłoń tonącemu Piotrowi. W fakcie, że Bonifacy VIII nadał w swej bulli znaczenie dogmatyczne temu jednemu tylko zdaniu, a nie usiłował charakteru nieomylności rozciągnąć do całej swej enuncjacji, o której słuszności był głęboko przekonany, widzi ten autor, dowód, że *„rzymski biskup wśród rozhukanych fal w odpowiedniej chwili znalazł ratującą go dłoń Mistrza".*

Osobnym zagadnieniem, którego dokładne omówienie nie leży w zakresie tego artykułu, jest poprawne odnoszenie się katolika do enuncjacji papieskich, nie noszących charakteru prawdy nieomylnej (wykluczone z tych rozważań są wypowiedzi nie odnoszące się do religijnego celu Kościoła, jak np. wypowiedzi polityczne). Religijne wypowiedzi papieży, nawet nie zdefiniowane ex cathedra są wypływem władzy nauczycielskiej Kościoła, mają więc jaknajwyższą powagę, ogłaszane są po najgruntowniejszych studiach, zwykle są teologicznie pewne, nie mogą więc być atakowane i zwalczane. Można natomiast za pomocą głębszych studiów gromadzić pozytywny materiał, który mógłby dane zagadnienie dokładniej oświetlić. Zainteresowani z pożytkiem wielkim zapoznać się mogą z tą sprawą, czytając wnikliwą „Dogmatykę" ks. Ignacego Różyckiego.

Raz jeszcze natomiast trzeba podkreślić, że posłuszeństwo jakkolwiek jest jedną z podstawowych wartości życia kościelnego, może przybierać takie formy, które redaktor L'Art Sacré, dominikanin, O. Regamey, nazwał *„nadużyciem posłuszeństwa".* Występuje to nadużycie wtedy, gdy się nieufnie patrzy na wszelkie najbardziej nawet zdrowe ruchy reformistyczne, gdy się usiłuje wychować duchowieństwo i wiernych w duchu posłuszeństwa ad litteram, gdy się uważa, że posłuszeństwo jest *jedyną* cnotą. To zaś przyzwyczaja zarówno duchowieństwo jak i wiernych do pewnego braku inicjatywy, nawet gdy życie wymagałoby jej powzięcia.

To nadużycie trzeba położyć na karb nie Kościoła, ale ludzi. Ludzie, którymi posługuje się Objawienie Boże na świecie są ograniczeni szrankami czasu, własnej indywidualności, choćby nawet byli genialni, winni podlegać krytyce i żądaniom reform. I rzeczywiście w Kościele powstają wobec tego pierwiastka ludzkiego odruchy krytyczne i reformistyczne.



Synagoga
Rzeźba z katedry w Strassburgu

KRYTYKA I DĄŻNOŚCI REFORMISTYCZNE

Cechą, rokującą najlepsze nadzieje, jeśli chodzi o tendencje krytyczne w stosunku do pierwiastka ludzkiego w Kościele, jest socjologiczny, a nie teologiczny charakter tej krytyki. Krytyka wewnątrzkościelna nie atakuje ani istotnej struktury Kościoła, ani dogmatu, ani władz autorytetu kościelnego — odnosi się raczej do zagadnienia kultury chrześcijańskiej, zaniedbań społecznych przeszłości, trafności oceny rozwoju historycznego, który nie da się zahamować — i którego hamować nie należy.

W dziedzinie życia kościelnego ważna pozycją jest stosunek Kościoła do społeczności narodowych. Oczywista jest rzeczą, że Kościół jako organizm nadprzyrodzony, Boży nie staje w poprzek rozwojowi narodu, boć i naród jest organizmem wywodzącym się z tego samego źródła za pośrednictwem prawa naturalnego. Chodzi o to, by pierwiastek ludzki w Kościele rozumiał narodową rację stanu, doceniał ją i pomagał temu, co również leży w planach Bożych.

DO SZTAMBUCHA REFORMATORÓW

Jak to już uprzednio powiedziano, zdrowe prądy ożywcze w Kościele są jak najbardziej pożyteczne. Ci jednak, którzy mają odwagę i dane do wystąpień reformistycznych, jeśli są duchownymi, winni za wzór wziąć sobie Newmana i Lacordaire'a, którzy bez sprzeciwu poddali się wyrokowi Kościoła nauczającego. Nie powinni również interesować się katolicyzmem jedynie intelektualnie. Newman i Lacordaire miłowali Kościół, poświęcili się potrzebom społeczności chrześcijańskiej, byli przede wszystkim duszpasterzami i to ich uchroniło od rozbicia.

Katolicy świeccy niech naśladują wielką miłość do Kościoła Leona Bloy, jego ogień żarliwości, wtedy ich dezyderaty będą miały pełne prawo, by wzięto je pod uwagę. I jedni i drudzy winni mieć wiele cierpliwości, gotowości do ofiar i starania o najbardziej szeroki horyzont widzenia.

W krytyce pierwiastka ludzkiego w Kościele winno się wyczuwać ból osobisty, że trzeba się było na krytykę zdecydować. W krytyce niech się zaznacza chęć oszczędzania Matki Kościoła w takiej mierze, jak tylko to możliwe i starania się o największy objektywizm, o ocenę nie tyle liberalną, ile słuszną. Głęboka racja bowiem zawarta jest w słowach wypisanych złotymi literami w hallu uniwersytetu w Upsali: *„Mieć wolność w myśleniu jest rzeczą wielką, ale większą jeszcze — mieć słuszność".*

Jak ubogo narodzony...

(*Dokończenie ze str. 2*)

ALE jest przecież i Józef. Stanął właśnie po lewej stronie, w pół obrocie, u wyjścia. Jego biała, lniana szata, przewiązana w pasie zwykłym plecionym sznurem i zniszczone skórzane sandały przyjmują na siebie pokorny cień nocy. Józef ma rumianą gładką twarz wieśniaka, krótki nos, ciemne oczy i przyjemny uśmiech w dużych wargach. Łysawą, okrągłą głowę wysunął nazewnątrz i spojrzał daleko na drogę. Coś dojrzał? Coś dosłyszał? Czy to pochód mędrców się zbliża, czy też zgiełk jakiś nadbiega? Może król o ciemnej twarzy jedzie na białym koniu, a za nim pochód wielbłądów, a za nimi konie innych królów, a przed nimi gwiazda wspaniała? — Józef nic jeszcze nie widzi nic choć ta noc jest przejęta dziwnym blaskiem. Ale Józef zaraz się dowie wszystkiego: wysunął naprzód prawą stopę, pochylił się trochę, lewą ręką o krótkich palcach dotknął bierwion futryny, a lewą uniósł do góry, jakby nakazywał ciszę tym zgromadzonym przy żłóbku osobom. Chce usłyszeć wyraźnie, czy to istotnie pochód królów, a może to nadbiegają pastuszkowie?... Dobrze, że Józef odwrócił dobrotliwą twarz patrząc w głąb nocy.

Ale noc już przywarła do desek lichej szopy betlejemskiej! Nie widzicie go, kobiety, nie widzisz go, przybrany ojcze Dzieciątka, ale ja go dostrzegłem: oto skulony, niczym ranione zwierzę, przypadł do drugiego węgła szopy, kosmaty niczym faun i czarny jak negr, z rudą brodą ostro zakończoną, z wąską twarzą i pałającymi oczami, drapiąc pazurami deski, przypadł do stajenki — szatan. Twarz jego skórczona bólem i wściekłością, nienawiścią, rozpaczą — on wie, on wszystko wie! To małe dziecko śpiące na sianie przyniesie mu tragizm niepotrzebnej, opętańczej walki! Przybiegł je zobaczyć, przyleciał spojrzeć oczami wroga w te oczy Jedynego, któremu i tak ulec musi! Biedny szatan, nic nie ma przed nim, nawet nadziei na łaskę krzyża — i oto rozpacz, ból, wściekłość cisnęły to pokręcone, boleśnie zwinięte ciało na ścianę po czerniałej szopy. Kosmatą dłoń uniósł do czoła — ile niemocy w tym geście! W tej samej jednak chwili Józef także uniósł w górę rękę, jakby mówił — cicho! nadchodzą...

A Maria? A Jezabel? Spoglądają ciągle z zachwytem na biedną kruszynę w powijakach, na jego malutkie usta, nagie ramię, gołą główkę i przymknięte oczy. Już wiedzą — maleństwo zaraz się obudzi..

Tadeusz MAZOWIECKI

Nie mniej i nie więcej niż wspólnota życia w Chrystusie

TAJEMNICA Wcielenia wprowadza nas w samo serce wiary. W noc betlejemską przychodzi na świat Dziecko, które jest Bogiem. Dokonuje się uświęcenie natury ludzkiej, którego cel wyjaśni się w 33 lata później, gdy rozpięty na krzyżu Chrystus wypełni ofiarę Odkupienia owocującą dla każdego człowieka.

W tym czasie narodzi się także tajemnica Kościoła. Encyklika „Mistyci Corporis" ujmuje ją w tych słowach:

„... *Tak jak Chrystus Pan nie jest wtedy cały jako Głowa i wzór Kościoła, jeśli w Nim widzimy tylko jego ludzką naturę, albo tylko naturę Boską niewidzialną, lecz On jest jeden w dwu naturach i w złączeniu z obu naturami, podobnie ma się rzecz z Ciałem Jego Mistycznym, ponieważ Słowo Boże przyjęło na siebie naturę ludzką podległą cierpieniom i stworzyło widzialną społeczność i poświęciło ją krwią Boga-Człowieka, aby człowiek przez kierownictwo widzialne dochodził do tego, co jest niewidzialne.*"

Ta tajemnica Kościoła jako Mistycznego Ciała Chrystusa leży w jego bosko-ludzkiej naturze. Ona też wyjaśnia nam charakter związków między stawaniem się Królestwa Bożego a dziejami człowieka, między Kościołem a historią. Zwykliśmy to określać w prostym zdaniu, że Kościół nie jest ze świata, ale jest w świecie. Znaczy to, że żyjąc w doczesności, Kościół nie utożsamia się z nią lecz ją przekracza, że jest transcendentny wobec historii, choć w nią wrasta i w niej pełni swe posłannictwo.

Dla katolika to zrozumienie istoty Kościoła ma znaczenie podstawowe. Z siłą tak wielką, jak może w żadnym innym punkcie, czyhają nań tu bowiem dwa błędy, których groźbę należy w pełni doceniać.

Mówiąc o błędach dotyczących rozumienia charakteru i roli Kościoła, wyostrzymy specjalnie pojęcia dla wyrazistego ukazania tego, co stanowi ich rdzeń. Błąd pierwszy to Kościół ducha bez ciała. Ten błąd — zrodzony nieraz ze szczerej tęsknoty za doskonałością — jest nie tylko zapoznaniem ludzkiego pierwiastka w Kościele. Wyraża on bowiem odwrócenie się od tego, co słabe i ułomne, lecz także i o tego, co potrzebujące. Miejsce transcendencji Kościoła wobec historii zajmuje tu mgławicowe pojęcie o bezcielesnym Kościele, które w konsekwencji, mimo woli, zawiesza go poza terenem jego misji apostolskiej, poza konkretnym człowiekiem. Tymczasem zaś cel Kościoła, jakim jest uświęcenie człowieka we wszystkich czasach, realizuje się nie bez jego widzialnego organizmu i nie poza historią, ale w niej.

Błąd drugi — to Kościół ciała bez ducha, to Kościół sprowadzony do poziomu organizacji doczesnej. Rodzi ten błąd czasem niespokojna natarczywość, która w misji uświęcania pragnie użyć wszelkich środków, a Królestwa Bożego na ziemi upatruje nie po zakończeniu historii, lecz natychmiast i to w chwale doczesnego panowania. Tu nie ma już odwrócenia się od doczesności, lecz zamiast tego co chrystianizm ma jej do zaofiarowania, zamiast owego płomienia świętości, który Kościół ma rozniecać, ofiarowuje się światu w imię chrystianizmu coś zgoła innego. Interes doczesny pewnego porządku społecznego utożsamia się wówczas z dobrem wiary. Kościołowi przypisuje się rolę realizatora doczesnych programów, które przez to, że sam jest wieczny, ma uczynić niezmiennym, a przez to, że sam jest święty—nieskazitelnymi. Miejsce transcendencji Kościoła wobec historii — zajmuje tu ograniczenie go w ramach pewnego porządku doczesnego i przemijającego, miejsce uniwersalizmu — partykularny interes grup ludzkich. Jego cel pozadoczesny zostaje utożsamiony z dążeniem doczesnym pewnej cywilizacji ziemskiej.

Mając na uwadze te błędy i nieporozumienia pisze Emanuel Mounier o Kościele:

„... *Nie jest on sam z siebie ani profesorem filozofii, ani żandarmem obyczajów, ani stróżem społeczeństw, ani szafarzem dóbr, ani opiekunem kultury, ani ośrodkiem działalności. Jeszcze mniej mocarstwem lub akademią... Zadaniem Kościoła nie jest ani porządek społeczny, ani rozdawnictwo dóbr, ani jak największe szczęście jak najliczniejszych rzesz. Jest on wspólnotą życia w Chrystusie. Mając za zadanie podtrzymanie takiego życia udostępnia je każdemu przychodzącemu na świat, uzupełnia je, aby się dokonało w ciele Chrystusa*".



Albrecht Dürer — Uwielbienie Trójcy Świętej

*

Prawda o transcendentnej istocie wiary i Kościoła nabiera szczególnego znaczenia w przełomowych okresach historii. Wtedy bowiem ze specjalną siłą dają o sobie znać błędy w pojmowaniu jego charakteru i roli. Wtedy też uleganie podsuwanym przez nie pokusom, staje się w najwyższym bodaj stopniu brzemienne w skutki.

Z tej perspektywy patrząc na to zagadnienie, trudno nie zatrzymać się nad znaczeniem, jakie posiada ono zarówno dla życia Kościoła jako całości, jak i dla każdego z jego wiernych. Bez wahania stwierdzić bowiem można, że ten problem znajduje się w samym centrum chrześcijańskiego życia. Tym jednak gorzej, jeśli nie jest on dostatecznie uświadamiany.

Pisano już nieraz o tym, a ostatnio Ignacy Rutkiewicz w „Dziś i Jutro" w swych „wyznaniach" przedstawiciela inteligenckiego pokolenia katolików z lat 1930 przypomniał, jak dalece nawet ta młoda generacja katolików pochodzenia inteligenckiego, skądinąd dojrzewająca już w czasach przełomu, przywykła do pojmowania katolicyzmu w jednym, nierozdzielnym i nieuporządkowanym konglomeracie pojęć z pewną, określoną postawą społeczną. Powiedzmy konkretnie postawą burżuazyjną.

Problem ma charakter uniwersalny. W tym samym bowiem sensie katolik w każdym innym kraju staje lub stanąć może wobec zjawisk historycznych, które każą mu zrozumieć, że świat jego pojęć tak dotąd bezpieczny — grozi załamaniem. Dla życia Kościoła, dla celu któremu on służy i ku któremu prowadzi człowieka, nie jest to nieważne czy wraz z załamaniem burżuazyjnego świata pojęć załamuje się katolicyzm.

To zniekształcone pojmowanie istoty wiary i roli Kościoła, gdzie katolicyzm jest nierozdzielnie związany i przemieszany z pewną postawą polityczną, a Kościół sprowadzony zostaje tylko do roli elementu istniejącej cywilizacji — niesłychanie mocno ciąży na postawie religijnej mas wiernych w wielu krajach. Katolicyzm polski nie jest bynajmniej wolny od tego obciążenia, przeciwnie, jego tradycje zdają się silnie skłaniać ku temu błędowi. Pewien ksiądz opowiadał mi niedawno o rozmowie przeprowadzonej z chorym, po udzieleniu mu ostatniego namaszczenia. Był to chłop nieprzyjaźnie nastawiony do idei spółdzielczości produkcyjnej. Ten człowiek prowadząc swój wywód przecież w chwili, gdy rozumuje się już najbardziej sub specie aeternitatis, swą wrogość do form spółdzielczych gospodarowania argumentował nie czym innym, ale... wiarą. Jego syn przekona się zapewne o wyższości gospodarki zespołowej, ale nie jest też wykluczone, że ludzie rozumujący kategoriami jego ojca, postawią taką decyzję pod zarzutem zdrady katolicyzmu.

Gdzie zaś leży przyczyna sprawiająca, że przypuszczenie uczynione poprzednio nie jest bezpodstawne? Co sprawia, że załamanie postawy społecznej, burżuazyjnego świata pojęć, pociągać może załamanie wiary? Zazwyczaj szuka się tej przyczyny w zewnętrznym układzie stosunków. Myśl ta jest szczególnie miła i wygodna, bo zwalnia od odpowiedzialności, przerzucając bez reszty ciężar winy na „zły świat zewnętrzny". Rozwiązanie zbyt łatwe, aby mogło być całkowicie prawdziwe. Beztrosko, powiedzmy nawet, zbyt beztrosko omija się odnajdywanie tej przyczyny tam, gdzie ma ona istotnie swoje źródło — wśród nas, a nade wszystko w nas.

Źródło to tkwi w zniekształconym pojmowaniu istoty katolicyzmu oraz charakteru i roli Kościoła. Wiara rozumiana w jednym nierozdzielnym i nieuporządkowanym konglomeracie pojęć z wszystkim innym, co jest tylko przekonaniem o sprawach doczesnych, niezmiernie łatwo staje się wiarą utożsamioną z tymi pojęciami. Zatraca się świadomość tego, co jest wieczne, a co przemijalne i gdy silniejszy podmuch historii burzy zmienne formy życia, powstaje przeświadczenie, że to właśnie samo z siebie zagraża wierze.

Równocześnie stosunek człowieka do Boga i współżycie wiernych w żywym organizmie Kościoła łatwo przybiera przy tej postawie postać konformistyczną. Przestaje być nieustannym wysiłkiem, dążeniem, a staje się coraz bardziej tylko asekuracją na życie wieczne. W samej istocie tej postawy tkwi bowiem skłonność do zamykania się w kręgu przyzwyczajeń i nawyków myślowych. Jest to tym niebezpieczniejsze, że dotycząc w olbrzymiej mierze spraw tego świata, przyzwyczajenia te są zespolone bez reszty, często niemal mechanicznie, z rozumieniem wewnętrznej treści posłannictwa Chrystusowego. Wszystko zaś to, co w wierze usuwa wysiłek dążenia, przygotowuje jałowienie.

Katolicyzm zaś jest wezwaniem do pełnego udziału w życiu Boga, na które człowiek nie może inaczej odpowiedzieć, niż przez wysiłek doskonalenia. Obejmuje to również doskonalenie swego stosunku do Boga i społeczności Bożej Kościoła. Ziarno wiary, zesłane człowiekowi, powierzone zostało jego trosce, aby nie uschło i nie zostało zanieczyszczone. Powiedział ktoś, że katolicyzm nie może nic spełnić większego, niż być sobą. Istnieje zawsze niebezpieczeństwo postawy pomijającej to, co w nim jest, i niebezpieczeństwo postawy przypisującej mu to, czego w nim nie ma. Lecz między jedną i drugą postawą, jak między zaniechaniem i fałszywą nadgorliwością, istnieje jakiś stopień pokrewieństwa. Stąd zabieganie o wyciąganej pełnej konsekwencji z katolicyzmu jest nierozdzielne od starań o zachowanie czystości jego prawdy oraz naszego o niej przekonania.

Ziarno wiary nie może uschnąć i nie może zostać zanieczyszczone. Ta podwójna troska wyjaśnia nasz obowiązek: rozumieć istotę wiary, treść posłannictwa Chrystusowego i pełnić je takim, jakie ono jest w swej istocie. Nie jest ono samo z siebie ani wykładem filozofii, ani programem urządzeń społecznych. Owszem, objawia człowiekowi prawdę o Bogu i o celu nadprzyrodzonym, lecz zostawia mu wysiłek poznawania na drodze naturalnej, rozumowej, otaczającej go rzeczywistości. Podobnie też, nakazując mu ponad wszystko inne miłość, inspiruje i umacnia szerzenie tej miłości, stawia bezwzględne normy etyczne indywidualnemu i zbiorowemu życiu człowieka, lecz samo z siebie nie kształtuje programu doczesnego porządku. Celem bowiem jedynym tego posłannictwa jest wiązać człowieka z Bogiem. I przez to czyni ono życie człowieka lepszym, pełniejszym. To jest ten zaczyn wiary, który na swój, jemu tylko właściwy sposób, drąży świat. Czynić ją czym innym, to sprawiać, aby nie była tym, czym jest.

Katolik nie jest z racji tej istoty wiary w żadnej mierze zwolniony od wysiłku, zarówno w poznawaniu jak i w kształtowaniu otaczającej go rzeczywistości. Stawia mu ona wymogi, lecz nie daje przywilejów ani w filozofii, ani w polityce. Podporządkowując w sensie ostatecznym wszystko swemu celowi nadprzyrodzonemu, dbać on jednak musi usilnie o to, aby nie przedstawiał swych sądów ułomnych i zmiennych, jako sądów wiary. Jest on też w równym stopniu, jak każdy inny człowiek, uwarunkowany społecznie. To sprawia, że reprezentując różne interesy doczesne, katolicy mogą różnić się między sobą w tej płaszczyźnie. Nie ma w tym nic niezwykłego. Tam jednak, gdzie ten interes doczesny utożsamiony zostaje z posłannictwem wiary, powstaje zarodek błędu, prowadzącego do zapoznania transcendentnej istoty wiary, co najdotkliwiej mści się właśnie w czasach przełomu historycznego.

Otóż u korzeni tych zniekształceń, o których była poprzednio mowa, tkwi zapoznanie tego, co stanowi istotną treść katolicyzmu. Świadomość religijna zespolona tak nierozdzielnie z przekonaniami społecznymi mijającego okresu, w czasach przełomu— nie z racji tych przekonań, lecz właśnie z racji posłannictwa wiary — zdaje się wtedy świadczyć przeciw ruchowi historii. Świadomość taka stawia wówczas jednych katolików wobec tragicznego dylematu: wiara czy postęp społeczny, innym zaś daje religijną motywację, utwierdzającą ich na przegranych społecznie pozycjach. Naszym zadaniem jest wyłuskiwać tkwiący tu zarodek błędu i rozwiewać to tragiczne nieporozumienie.

*

To zniekształcenie co do istoty wiary przenosi się w czasach przełomowych w specjalny sposób także na pojmowanie charakteru i roli Kościoła. Zjawisko powtarzające się szczególnie w historii ostatnich stuleci. Gdy upada feodalizm, Kościół ma być stróżem monarchii przed republiką, gdy upada demokracja mieszczańska, ma jej bronić przed państwem proletariatu. Ten dezyderat klas odchodzących wysuwany jest pod jego adresem z niesłabnącą siłą. Wysiłek, skierowany ku umożliwieniu Kościołowi pełnienia jego misji w nowych warunkach, przedstawiony zostaje na tej zasadzie, jako działanie przeciw dobru Kościoła. To usiłowanie zmierzające do zamknięcia Kościoła w ramach jednej, w danej chwili odchodzącej formacji społecznej, wdziera się w samo życie Kościoła nie przebierając w środkach, by uczynić go jawnym sojusznikiem obrony, zagrożonego przez przemiany dziejowe, porządku społecznego.

Ideologicznym sprzymierzeńcem tej kampanii jest utwierdzana w masach wiernych tęsknota za minioną przeszłością. Pogrobowcy ancien regime'u idealizują w okresie po rewolucji francuskiej historię feodalizmu równie silnie, jak to stopięćdziesiąt lat później czyni burżuazja w stosunku do kapitalistycznej cywilizacji. Na katolików ta idealizacja w jednym punkcie oddziaływuje szczególnie mocno: tam mianowicie, gdzie mowa o prawach i znaczeniu Kościoła w przeszłości. Ta tęsknota za minionym okresem, oparta wielokrotnie na nieporozumieniach, jest w rzeczywistości czynnikiem niezmiernie szkodliwym dla pełnienia przez Kościół swego posłannictwa. Zwraca na to uwagę w nader wymownych zdaniach myśliciel tej miary co Etienne Gilson —

„*Wielu chrześcijan żałuje tych dobrych czasów, kiedy to uznane przez świat posłannictwo Chrystusa przeniknęło i prawie całkowicie zawiadywało społeczeństwem świeckim tzn. państwem. Stąd u nich tęsknota za minionym triumfem, smutek z powodu obecnego upadku i nadzieja przyszłości, która wskrzesiłaby czas przeszły. Można by dużo powiedzieć, nie tyle na temat wiary dawnych dni, co o swoistej doskonałości dawnych chrześcijańskich społeczeństw. Złudzenia, które utrzymują w tej materii poeci i powieściopisarze historyczni, nie wytrzymują najmniejszej konfrontacji z rzeczywistością. My nie będziemy żałowali przykładów dawanych swojej ludności przez Arcychrześcijańskiego Króla do którego przemawiał Bossuet...*

(Dokończenie na str. 13)



Rubens — Św. Ambroży zabrania cesarzowi Teodozjuszowi wejścia do kościoła

Janusz ZABŁOCKI

Przeciw groźnej mistyfikacji

„Jeśli redaktorzy „La civilta cattolica" w ruchu proletariatu powstałym z krzywdy i nędzy po to, aby ją znieść, nie umieją dostrzec niczego co ludzkie i wielkie, co posuwa historię ziemską człowieka naprzód, jeśli inny mają osąd w sprawach doczesnych i innego dokonali wyboru, to — zapytajmy z najbardziej ostrą powagą — cóż ich uprawnia do tego, aby ten swój wybór osłaniać Chrystusem? Cóż ich uprawnia do tego, aby zniekształcać sens misji Kościoła i karty Ewangelii czynić przedmiotem przetargu politycznego?".

TE pytania sformułował Tadeusz Mazowiecki w drukowanym przed kilku tygodniami w „Słowie Powszechnym" artykule pt. „Gdybym miłości nie miał", stanowiącym odpowiedź na napastliwie antykomunistyczny i antypokojowy artykuł O.Brucculeri w „La Civilta Cattolica", który dopuszcza się brutalnego nadużycia religii. Ale takie same pytania można postawić tym wszystkim kołom politycznym na Zachodzie, które przygotowywanej przez siebie wojnie nadają miano „krucjaty w obronie wiary i cywilizacji chrześcijańskiej", systematycznie nadużywając religię chrześcijańską dla swoich celów politycznych. Wobec szerokich rozmiarów nadużywania religii, warto podjąć próbę odpowiedzi na sformułowane wyżej pytania, próbę analizy obiektywnych przyczyn i oceny doktrynalnej tego zjawiska.

TŁO SOCJOLOGICZNE NADUŻYWANIA RELIGII

Analiza socjologiczna podłoża, na którym wyrasta zjawisko nadużywania religii jest względnie prosta. U podstaw współczesnych konfliktów leży społeczny konflikt między klasą, która — krzywdzona przez stary ustrój — zrywa się do walki przeciw niemu o odmawiane jej prawa a klasą, która — zainteresowana w utrzymaniu własnych przywilejów kosztem innych warstw — starego porządku rozpaczliwie broni. Ale ideologie obu walczących klas nie są sobie równe. Ideologia klasy rewolucyjnej, dopominając się o prawa dla wszystkich ludzi i przemawiając olbrzymim ładunkiem moralnym w niej zawartym do ludzkiego poczucia sprawiedliwości, godności, miłości do człowieka — potrafi rozszerzać się w masach, porwać je do buntu przeciw złu społecznemu, natchnąć duchem walki i poświęcenia, a nawet przyciągać do obozu rewolucji najbardziej moralnie wrażliwe jednostki z klasy przeciwnej. W przeciwieństwie do niej, ideologia klasy broniącej własnych przywilejów nie jest zdolna przemówić do mas. Egoizm posiadacza, apologia użycia konsumpcyjny i eksploatatorski stosunek do świata i do drugiego człowieka — to wszystko co stanowi treść świadomości współczesnego bourgeois nie wystarcza, aby — przekazane szerokim masom wyzyskiwanym — mogło je mobilizować do walki o wartości nie dla tych mas przeznaczone. Historia ruchu robotniczego na przestrzeni ostatniego stulecia obfituje w rozliczne świadectwa niezwykłego heroizmu, który zdołał rozbudzić w prostych ludziach różnych krajów jego program wyrosły z protestu przeciw nędzy i poniżeniu człowieka. Nie ma natomiast ludzi, którzy zdecydowali by się świadomie oddać swe życie za utrzymanie złóż naftowych Bliskiego Wschodu przy Standard Oil Company albo za podwyższenie kursu akcji General Motors.

Z tego ideologicznego kompleksu niższości klasy ustępującej rodzi się potrzeba mistyfikacji ideologicznej, tak dla jej mentalności typowa. Gdy zza stanowiska politycznego klasy ustępującej przebija w sposób zbyt wyraźny egoistyczny motyw garstki posiadaczy przywilejów, z tą chwilą treść klasowa musi zostać zamaskowana a ideologia obrony starego ustroju musi zostać spowita w motywację „bezinteresowną", która byłaby zdolna oszukać masy.

W poszukiwaniu wartości ideologicznych, które w epokach przełomu i walenia się w gruzy starego ustroju zachowywałyby swój wpływ na świadomość ludzką, oczy ginących klas musiały zwrócić się na religię. To ten właśnie ideologiczny kompleks niższości i ta właśnie potrzeba mistyfikacji nakazała Napoleonowi Bonaparte, który w swoim życiu osobistym nigdy nie uznawał wartości religii, widzieć jej wartość dla życia politycznego. *„Ludzkość — stwierdził on — nie może istnieć bez nierównego posiadania własności, a ta nierówność własności nie może istnieć bez religii"*. To samo dążenie nakazało burżuazji francuskiej po rewolucji lutowej 1848 roku gwałtownie zmienić kurs wobec katolicyzmu i w obawie przed narastającą falą gniewu proletariatu zjednywać sobie Kościół, tylokrotne dotychczas przez nią atakowany, wyszydzany i lżony. To samo zmusza też w naszych czasach laicko-protestanckie koła polityczne Białego Domu maskować swoją tradycyjną wrogość do katolicyzmu rzymskiego i słać w dniu 26 sierpnia 1947 r. Piusowi XII obłudne zapewnienia, sformułowane ustami Trumana: *„Uważam, że największą potrzebą dzisiejszego świata jest odrodzenie wiary...".*

Jak redaktorzy „La civilta cattolica" — dokonując wyboru w trwającym konflikcie klasowym po stronie burżuazji nie ujawniają, że rzeczywistym motywem takiego wyboru są ich powiązania klasowe ze światem burżuazyjnym, ale śmią uzasadniać tę swoją decyzję Chrystusem i Ewangelią, tak samo cały współczesny obóz kapitalizmu ze swoim sztabem w Waszyngtonie chwyta się tej mistyfikacji, pragnąc fasadą deklaracji „chrześcijańskich" pokryć wewnętrzną pustkę i rozkład, pragnąc tą pseudoreligijną mistyfikacją wyrównać uderzające poczucie niesłuszności moralnej jego sprawy, przyznanie się do której oznaczałoby jego zagładę.

NADUŻYCIA RELIGII A ISTOTA KATOLICYZMU

Jako katolicy wiemy, że nauka Chrystusa nie jest ideologią żadnej klasy, służącą do utrwalenia jej interesów kosztem innych klas. Jej racją bytu i istotną funkcją nie jest uzasadnianie nierównego podziału własności, jak tego chciał Napoleon, ani uzasadnianie panowania kapitału amerykańskiego nad światem, jak tego chce Truman.

Kościół jest w świecie, ale nie jest ze świata. Istotę jego stanowi wspólnota życia w Chrystusie, uczestnictwo w Mistycznym Jego Ciele za pośrednictwem udzielanej przez Sakramenty łaski. Kościół nie jest częścią historii, on jest transcendentny wobec historii. Jego zadaniem nie jest tworzenie ani zachowanie żadnego ustroju — jego zadaniem jest uświęcenie ludzkości wszystkich czasów i wszystkich ustrojów społecznych, przygotowywanie w duszach ludzkich Królestwa Bożego, które nie jest z tego świata.

Rola jaką wyznaczają katolicyzmowi organizatorzy pseudoreligijnej mistyfikacji jest zaprzeczeniem jego uniwersalnej i transcendentnej istoty. Jest sprowadzeniem religii do poziomu jednej z ideologii społecznych przez wyznaczenie jej politycznych funkcji utrwalenia starego systemu społecznego, uzasadnienia niesprawiedliwości społecznej i wojny zaborczej.

Jest to naprzód zaprzeczenie transcendencji religii katolickiej.

Misja Kościoła ma trwać tak długo, jak długo trwać będzie ludzkość. Zadaniem Kościoła jest bowiem pełnienie za pośrednictwem sakramentów św. rozdawnictwa tej łaski, która została męką Syna Bożego okupiona dla wszystkich ludzi jacy żyć będą na ziemi, by uzdrowić ich naturę zranioną grzechem i umożliwić życie wieczne w Bogu. W wyniku mistyfikacji na rzecz polityki katolicyzm zostałby ogołocony ze swego transcendentnego wnętrza, sprowadzony do określonego historycznie systemu ustrojowego w roli jego ideologicznej nadbudowy, związany wspólnotą losu z tym ustrojem, a więc podległy wraz z nim prawu rządzącemu wszystkim co doczesne — prawu historycznej przemijalności. Ta imanencja polityczna katolicyzmu, zamknięcie go w jednej formacji historycznej i utożsamienie z nią, dokonałoby wynaturzenia istoty Kościoła w sprzeniewierzeniu się jego wiecznej misji, nakazującej nieść Słowo Boże wszystkim czasom. A zespolenie katolicyzmu z określonym ustrojem, zespolenie wiecznego z przemijającym, naturalnie i niedostrzeżenie przekształca się w świadomości katolików w podporządkowanie katolicyzmu temu ustrojowi, podporządkowanie wiecznego przemijalnemu.

Temu zaprzeczeniu transcendencji katolicyzmu towarzyszy zaprzeczenie jego uniwersalności. Gdy nauka Chrystusa wykazywała zło w samym sobie, w naturze skażonej grzechem, nakazując je przezwyciężać wysiłkiem doskonalenia własnej duszy — pewien rodzaj zwulgaryzowanej teologii usiłuje całe zło upersonifikować w przeciwnikach politycznych, jakby ich zniszczenie mogło rozwiązać problem zła w życiu ludzkim. Dla „La civilta cattolica" *„stary szatan, który powstał przeciwko Kościołowi od samych początków działalności apostolskiej i nieustannie przeszkadzał na przestrzeni dwudziestu wieków... wcielił się i upersonifikował w przywódcach sowieckich"*. Przy takim ujęciu przygotowywanie nowej wojny staje się zasługą religijną. Katolicyzm sprowadzony do roli jaką mu wyznaczają mistyfikatorzy przestaje być religią ponad wszystkimi poglądami doczesnymi, a Kościół społecznością, w której znajdą miejsce ludzie różnych ras, narodów, klas społecznych, poglądów filozoficznych, artystycznych, politycznych. Katolicyzm stacza się do poziomu partykularystycznego programu przeciwstawianego innym programom jakgdyby były mu równe, a Kościół przekształca się w umysłowości ludzkiej w partię mającą za swe istotne zadanie zwalczać inne partie. Tymczasem — jak to formułuje Maritain *„katolicyzm nie jest partią, jest on religią — jedyną religią prawdziwą. Katolicyzm cieszy się wszelkim dobrem i bez zawiści wytwarza dobro nawet poza swymi granicami. Lecz dobro to jest tylko pozornie poza katolicyzmem, w rzeczywistości niewidzialnie do niego należy"*.

Nie ma dla chrześcijanina większego niebezpieczeństwa, niż dać się zwieść pozorom, przede wszystkim pozorom poparcia udzielanego chrześcijaństwu przez jakikolwiek ustrój. Przyjmując to poparcie Kościół wyrzeka się tego, co jest jego największą siłą — wolności duchowej. Jedynym skutkiem religijnym Restauracji z jej misjami i procesjami był spadek liczby komunii wielkanocnych w kościołach Francji do jednej trzeciej. Dzisiaj w Paryżu — stolicy intelektualnej świata burżuazyjnego, tego świata, który tak pragnie „bronić wiary" poza swoimi granicami — ponad dwa miliony ludzi żyje bez chrztu.

Katolicyzm pozostaje sobą tylko wtedy, gdy jest transcendentny i uniwersalny, bo tylko wtedy może dokonywać dzieła uświęcania ludzkości. Z chwilą gdy przestaje być rozumiany w kategoriach transcendencji i uniwersalizmu, przestaje być katolicyzmem przeistaczając się w bluźnierczy frazes polityczny. Tak jest właśnie z cytowanym artykułem w „La civilta cattolica". Chrystus, którego znamy z Ewangelii, Chrystus, który miłującymi rękoma karmił głodnych, pocieszał strapionych, uzdrawiał chorych, wskrzeszał umarłych, który dla wszystkich ludzi przyjął męczeńską śmierć na krzyżu — ten sam Chrystus w wykładni O. Bruccureli przedstawia się w postaci złowrogiego fabrykanta trumien dla swych wrogów, w postaci grabarza na atomowym pobojowisku ludzkości.

NADUŻYCIA RELIGII A POSTAWA CHRZEŚCIJAN

Jeśli sygnalizowane przez nas zjawisko ideologicznego kompleksu niższości klas wyzyskujących i powstającej na tym tle potrzeby pseudoreligijnej mistyfikacji, tylokrotnie obserwowane na przestrzeni historii, posłużyło niektórym kierunkom myśli współczesnej za podstawę do wniosku, jajkoby taka mistyfikacja była istotą religii — przyznajmy, że wniosek taki znajdował potwierdzenie w postawie zajmowanej w przeszłości i obecnie przez znaczną część chrześcijan. Jeśli teoretycy rewolucji proletariackiej krytycyzm swój przenoszą z pseudoreligijnej mistyfikacji dokonywanej w interesie klas posiadających, na religię jako taką — to odpowiedzialność za ten stan rzeczy obciąża w pierwszym rzędzie samych wierzących. Nie wykazali oni bowiem dość odporności na nacisk tych klas i pozwolili swoją wiarą osłaniać ustrój krzywdy i niesprawiedliwości społecznej. Więcej nawet, nie potrafili oni własną postawą wykazać, że mistyfikacja taka jest sprzeczna z transcendentną istotą religii. Z błędów popełnionych przez katolików minionych stuleci urasta przeogromny skarbiec gorzkich i bolesnych doświadczeń, z których oby nasze pokolenie potrafiło wyciągnąć naukę.

Katolicy nie wykazali odporności na nacisk klas posiadających... Czy to stwierdzenie jest dostatecznie ścisłe? Niewątpliwie rozumując kategoriami socjologicznymi takie przeciwstawienie nie jest właściwe. Podział klasowy przebiegający przez całe społeczeństwo przecina także to, co nazywamy „społecznością katolicką". Dysponująca przewagą ekonomiczną klasa posiadająca wywierając przemożny wpływ na władzę państwową nie pozostaje również bez wpływu na doczesną politykę władz kościelnych. Jeśli jednak mimo to użyliśmy tego przeciwstawienia to dlatego, że „społeczeństwo katolickie" traktować trzeba nie tylko w wymiarze socjologicznym, ale również — jako fragment Kościoła Powszechnego — w wymiarze nadprzyrodzonym. Przynależność do nadprzyrodzonej wspólnoty Kościoła nakazuje wymagać od katolików aby egoistycznych interesów klasowych nie stawiali wyżej od dobra Kościoła. Rozumiemy to nie w tym sensie, abyśmy idealistycznie umniejszali działanie więzi klasowej, lecz w tym sensie aby katolicy nie dopuszczali do maskowania katolicyzmem egoistycznych interesów poszczególnych grup angażując bezprawnie Kościół. Jeśli w doczesnej pielgrzymce Kościoła istniało zawsze niebezpieczeństwo roztrwonienia nadprzyrodzonego depozytu Chrystusowego w długiej drodze, jeśli zawsze groziło mu niebezpieczeństwo w pewnym sensie pożerania tego co w nim boskie przez to co w nim ludzkie, jeśli zawsze trwała w Kościele dialektyczna walka między pierwiastkiem nadprzyrodzonym wyznaczającym mu transcendencję wobec świata, a pierwiastkiem doczesnym wyznaczającym mu imanencję w świecie — to w dzisiejszej chwili walka ta przybiera specjalnie wielkie rozmiary i szczególnie doniosłe ma dla Kościoła znaczenie. Przyjmuje ona konkretną postać walki tego wszystkiego co w Kościele jest życiem nadprzyrodzonym przeciw ciążeniu egoistycznych motywów klasowych, narzucanemu przez otaczającą rzeczywistość starego świata.

Ale obok działania motywów klasowych istnieje jeszcze inny czynnik który tłumaczy łatwość z jaką społeczeństwa katolickie godziły się z dokonywanymi kosztem ich wiary mistyfikacjami. Ten czynnik ma charakter ideologiczny i u swojej genezy wyjaśnia się niepogłębionym rozumieniem istoty katolicyzmu i Kościoła w masach wiernych. W rzeczywistości czyż może

(Dokończenie na str. 9)

Witold OSTROWSKI

Opowieść wigilijna o Zielonym Rycerzu

BYŁA zima. Były Święta Bożego Narodzenia, obchodzone średniowiecznym obyczajem przez piętnaście dni. W dzień Nowego Roku po uroczystej Mszy św. i rozdaniu podarków noworocznych król Artur, piękna królowa Ginewra, powłóczyste damy i wszyscy rycerze Okrągłego Stołu zasiedli w wielkim hallu w Camelot do śniadania. Ale król kapryśnie oświadczył że jeść nie będzie, dopóki nie zobaczy jakichś dziwów lub nie usłyszy niezwykłej opowieści.

„Wniesiono pierwsze danie wśród wrzasku trąb i powiewających sztandarów, grzmotu bębnów i przenikliwych piszczałek, które zbudziły dziką muzykę i melodię. Wiele serc podskoczyło na ten głos. Wniesiono wykwitne potrawy, kosztowne mięsiwa, obfitość świeżutkiego jadła na tak wielu półmiskach, że trudno było znaleźć miejsce przed ludźmi, by postawić srebrne naczynia ze smacznym jedzeniem. Każdy brał, w czym najbardziej smakował. Przy każdej parze stało dwanaście talerzy, dobre piwo i roziskrzone wino..."

Tak zaczyna swą wigilijną opowieść nieznany poeta z XIV w., autor jednego z największych arcydzieł średniowiecza — romansu pt. „Sir Gawen i Zielony Rycerz" *(Sir Gawayne and the Greene Knight)*. Ten romans, zachowany w pięknym rękopisie z czterema barwnymi ilustracjami i dewizą *Honny soit qui mal y pense*, pochodzi gdzieś z roku 1370 lub 1374 a liczy przeszło 2500 wierszy ułożonych w oryginalne „zwrotki" — grupy kilkunastu wierszy opartych na tej samej ilości akcentów i na aliteracji. Aliteracja, charakterystyczna dla poezji staroangielskiej, jest do pewnego stopnia odwrotnością rymu. Aliterujące ze sobą słowa zaczynają się od tego samego dźwięku, podczas gdy słowa rymowane dźwięczą jednakowo w końcówkach. Każda z tych dość długich „zwrotek" kończy się krótką grupą wierszy rymowanych.



Wracajmy jednak do naszej historii. U podwojów wielkiej sali powstało zamieszanie i nagle wjechał na koniu olbrzymi Zielony Rycerz. Naprawdę zielony. Nie tylko z ubioru, zdobionego złotem, lecz i z twarzy. Tylko złote włosy i rozłożysta, jak złoty krzak broda, rozjaśniały zieleń oblicza. W jednej ręce miał ciemnozieloną gałąź kłującego ostrokrzewu *(holly)* a w drugiej topór z zielonym trzonkiem. Na domiar tej zieloności koloru świeżej trawy, koń także miał zieloną grzywę i ogon. Rycerz — kto wie, czy nie duch dawnych przedchrześcijańskich, ludowych godów Zimowych, święconych w Anglii wśród girland lśniącego ostrokrzewu i pęków jemioły, przy szczapie smolnego drzewa, na ogniu i z potrawą z głowy dzika — podjechał do królewskiego stołu na podwyższeniu i zmierzył wszystkich rycerzy Okrągłego Stołu badawczym wzrokiem. Zapanowało milczenie pełne oczekiwania i lęku.

Poeta nie długo trzyma nas w zawieszeniu. Pierwszy odzywa się Artur. Prosi dziwnego rycerza do stołu. Ale ten odmawia. Słyszał wiele o sławie królewskiego dworu, o dzielności rycerzy i przybywa w pokojowych zamiarach, z zieloną gałązką, bez zbroi, z propozycją gwiazdkowej gry. Kto z obecnych odważy się ściąć mu głowę tym wielkim toporem i zgłosić się za rok o tej porze, aby poddać się tej samej operacji, ten niech szybko wystąpi.

Zapadło jeszcze głębsze milczenie, rozdarte wybuchem śmiechu ze strony Zielonego Rycerza. Sypnął drwinami z rycerskiej sławy Okrągłego Stołu. Nie wytrzymał tego Artur i skoczył z miejsca. Lecz powstrzymał go Gawen, siostrzeniec królewski.



Niechaj mu Artur pozwoli wstać od boku królowej i wziąć na siebie tę sprawę, gdyż nie jest rzeczą przystojną, aby król podejmował wyzwanie, gdy tylu odważnych rycerzy siedzi na ławach. On sam, Gawen, jest z nich najsłabszy i najmniej rozumny, dlatego utrata jego życia będzie najmniejszą szkodą.

Artur zezwala. Sir Gawen przysięga stawić się na zamku zielonego olbrzyma za rok, na Nowy Rok. Chwyta topór, ścina głowę, która toczy się między nogami biesiadników jak piłka. Zielony Rycerz, niewzruszony podnosi ją za włosy, wsiada na konia i oznajmia martwymi, zdawało by się, ustami, że Gawen znajdzie go w pobliżu Zielonej Kaplicy. Ludzie wskażą tam drogę. Po tych słowach niesamowity gość wypada z sali, krzesząc podkowami iskry z kamiennych płyt posadzki. Przerwana uczta rozbrzmiewa pieśniami minstrelów i kolędami.

W ten sposób, w niezwykle barwnej szacie średniowiecznej, nieznany poeta, o którym wiemy tylko, że pochodził z Cheshire, wprowadza stary celtycki motyw baśniowy — Ścięcie. Najwcześniej spotykamy go w irlandzkiej sadze o „Uczcie Briciu". Do „Sir Gawena i Zielonego Rycerza" dostał się prawdopodobnie poprzez sławny romans francuskiego truwera Chretien de Troyes o Percevalu, rycerzu Św. Graala. Gawen występuje tam w podobnej przygodzie.

Poeta przesuwa teraz przed czytelnikiem, a raczej słuchaczem — bo tę opowieść wigilijną recytowano zapewne na dworach w zimowe wieczory przy ogniu kominka — pochód pór roku... Nadeszła wiosna z łagodnym deszczem, ziemia pokryła się zielenią, rozkwitły drzewa. Potem lato, „gdy wietrzyk tchnie słodyczą w ziarna i zioła a dziko wzrosłe ziele wdzięku ma najwięcej, bo mokre krople kapią ze zroszonych liści, by mogło przetrwać rumieniec rozkoszny rozpromienionego słońca". Po żniwach pędzących pył przed sobą liście z drzew opadły, trawa szarzała, wszystko dojrzało i, przejrzałe, zaczęło gnić, aż wreszcie wróciła zima.

Sir Gawena żegnano ucztą i łzami już na Wszystkich Świętych. Z Camelot, mitycznej siedziby Artura gdzieś w południowej Anglii, ruszył na północ na pograniczu Walii, przez jej dzikie góry przedarł się aż na skaliste wybrzeże, a potem do małej, zapadłej ojczyzny poety —— hrabstwa Chester, które wysuwa wąski język półwyspu Wirral w morze. Przebył wiele przygód, przepraw i walk. Lecz najgorsza była zima, gdy półżywy spał w zbroi, smagany śniegiem zmieszanym z deszczem, leżąc na nagich skałach, z których zwisały potoki zakrzepłe w sople.

Nadeszła Wigilia Bożego Narodzenia. Zimny ranek, ściśnięty mrozem tak, że ptaszki żałośnie ćwierkały z bólu. Gawen wjechał w głęboki niepokojący las, w którym piętrzyły się wzgórza. Otoczyły go sędziwe dęby, leszczyny przeplecione głogami, trzęsawiska i mokradła. Obawiał się, że nie znajdzie schronienia w nadchodzącą świętą noc. Wzchychając więc, zaczął się modlić:

„Błagam Cię, Panie, i Ciebie, Mario, najtkliwsza i najszlachetniejsza z matek, abyście dali mi jakieś mieszkanie, izbym wysłuchać mógł Mszy Św. i jutrzni! Pokornie o to Was proszę!"

Odmówił Ojcze nasz i Wierzę, żałował za swe winy i zanim się trzy razy przeżegnał, ujrzał potężny zamek na wzgórzu. Przyjęto go tam gościnnie.

Z atmosfery zimna i grozy poeta przerzuca nas w ciepło zamkowych komnat. Pan zamku serdecznie wita rycerza. Ogień płonie, bogate szaty czekają na gościa. W hallu nakrywa ją do wilii. Przy wieczerzy muzyka i kolędy. Potem pasterka w zamkowej kaplicy. A po nabożeństwie pan zamku przedstawia rycerza damom. Jednej, jaśniejącej urodą młodości, która jest jego małżonką i drugiej, leciwej, wyschłej i brzydkiej, ale pełnej godności niewieście o przenikliwych czarnych oczach pod czarnymi brwiami. Gawen kłania się nisko starszej i, zgodnie z rycerskim obyczajem, całuje w twarz młodszą. Dworna rozmowa ciągnie się późno w noc.

Po trzech dniach wesołej zabawy Sir Gawen chce odjechać na poszukiwanie Zielonej Kaplicy. Ale pan zamku zachęca go, aby jeszcze pozostał. Zielona Kaplica jest niedaleko zamku. On sam udaje się jutro o świcie na polowanie a Gawen niech dotrzymuje towarzystwa damom. Gdy się zobaczą wieczorem, wymienią między sobą to, co każdy zdobył w ciągu dnia...

Pierwszą zdobyczą Gawena był pocałunek, którym obdarzyła go piękna pani zamku, budząc go rano słodkimi słowami, gdy wślizgnęła się do jego komnaty na wieży, promienna, wonna i ciepła. Gdy pan zamku przywiózł wspaniałego jelenia, za którym gonił z drużyną po śnieżnych wzgórzach przez cały dzień i którego złożył u stóp gościa w prezencie, zmieszany rycerz odpowiedział, wierny układowi, oddaniem pocałunku.

Na drugi dzień Gawen wymienił dwa pocałunki na dzika. Zachowanie się pani zamku stawało się coraz bardziej niebezpieczne. Mówiła ciągle o miłości tak, jakby Gawen był jej przedmiotem.

Gdy trzeciego dnia gościnny rycerz pędził za lisem przy wczesnym, majestatycznie szkarłatnym słońcu, w szalonym zgiełku rogów i ujadania psów, „szlachetny Gawen spał w domu zdrowo pod ładnymi kołdrami. Ale pani z miłości nie dbała o sen... Wstała wcześnie i pośpieszyła do Gawena w cudnym płaszczu, który sięgał do ziemi, obszyty cienkim futerkiem. Nie miała klejnotów we włosach, lecz drogie kamienie bramowały jej „czółko"... Piękną twarz i szyję miała odkrytą, i dekolt, i kark. Weszła i zamknęła za sobą drzwi komnaty a otwierając okno zawołała na Gawena i pozdrowiła go wesołym słowem: „Człowieku, jak możesz spać w taki jasny poranek?" Potem podeszła do łoża.

W ten sposób zaczęła się ciężka próba dla rycerza. Chciało by się przytoczyć całą tę scenę, pełną subtelnego artyzmu, scenę, w której pokusa przychodzi w szacie piękna i wytworności a męska czystość i lojalność zwycięża ją równie delikatnie i uprzejmie.

Gawen nie przyjął ani miłości ani bogatego pierścienia kusicielki. Przyjął jednak przepaskę z zielonego jedwabiu, którą zdjęła z siebie, gdyż przepaska miała magiczną moc czynienia nietykalnym tego, kto ją nosił. A Gawen pamiętał o toporze Zielonego Rycerza... Myśl o śmierci, której miał biernie się poddać, sprawiła, że uległ pokusie strachu i przy wieczornym spotkaniu z panem zamku oddał mu tylko trzy pocałunki, które otrzymał wraz z cenną a kompromitującą przepaską.

Próba Czystości w tej formie w jakiej Gawen ją przebył, należy tak, jak motyw Ścięcia, do starych sag celtyckich. Ale nigdzie nie została przedstawiona w tak głęboko ludzki sposób, z realizmem niemal powieściowym, jak w utworze nieznanego autora, żyjącego u schyłku średniowiecza.

Zaraz po wyjściu pani zamku Gawen wymknął się do kaplicy, aby się wyspowiadać. Potem spędził na zabawie ostatni dzień roku. Nazajutrz, wśród zadymki śnieżnej, gdy jeszcze było ciemno, wybrał się na spotkanie śmierci. Przed rozstaniem sługa — przewodnik namawiał go do ucieczki przed strasznym Zielonym Rycerzem, ale Gawen był gotów na śmierć.

Koło zielonego wzgórka, wydrążonego w środku, który zwano Zieloną Kaplicą, czekał go Zielony Rycerz z toporem. Sir Gawen zsiadł z konia, przechylił głowę i odsłonił szyję. Rycerz zamachnął się toporem, ale za pierwszym razem nie uderzył. Gawen drgnął lekko i za to został nazwany tchórzem. Dopiero za trzecim razem ostrze spadło na szyję rycerza, drasnąwszy go tylko. Wtedy Sir Gawen porwał za miecz i tarczę, wołając, że umowy dotrzymał.

Tak było istotnie. Zielony Rycerz wygłasza teraz pochwałę Gawena, odsłaniając mu sens ostatnich dni. On i pan zamku — to jedno. Kuszenie Gawena odbyło się za jego wiedzą i wykazało, że jest najbardziej nieskazitelnym bohaterem, jaki stąpał po ziemi. O ile perły cenniejsze od grochu, o tyle Gawen od innych świetnych rycerzy. Topór zranił go wprawdzie lekko, ponieważ nie oddał jedwabnej przepaski, łamiąc w ten sposób częściowo umowę, lecz nie uczynił tego z powodu miłostek, lecz z miłości własnego życia.

Gawen jednak inaczej patrzy na swój czyn. „Przeklęte niech będą tchórzostwo i chciwość!" — woła — „Tchórzostwo nauczyło mnie godzić się z chciwością i wyrzec się własnej natury — szlachetności i lojalności, które przystoją rycerzowi!" Odtąd będzie nosił zieloną opaskę (podarowaną mu przez Zielonego Rycerza) jako znak swej hańby. Odmawia powrotu do zamku, aby nie spotkać kobiety, która go zwodziła. Zanim jednak odjechał, dowiaduje się, że tajemniczą starszą damą była czarodziejka Morgan le Fay, siostra przyrodnia Artura, od której imienia pochodzi nazwa *fata morgana*. Ona to wysłała Zielonego Rycerza na dwór Artura, aby wypróbować rycerzy i przerazić królowę Ginewrę.

Rycerze żegnają się. Gawen wraca na dwór Artura i opowiada o swoim wstydzie. Ale cały dwór z królem na czele postanawia nosić zieloną przepaskę na jego cześć.

Tak kończy poeta opowieść wigilijną, poemat, który jest najwspanialszym owocem poezji feudalnej w Anglii. Nie znamy pochodzenia autora „Sir Gawena i Zielonego Rycerza". Wiemy o nim tylko tyle, ile da się wysnuć z jego utworów — omawianego romansu i trzech mistycznych poematów pt. „Perła", „Czystość" i „Cierpliwość". Był to prawdopodobnie człowiek, któremu umarła córka, który dobrze znał polowanie i sprawianie zwierzyny, a więc nie ksiądz ani zakonnik. Był za to ściśle związany z dworem, świadomy najdrobniejszych szczegółów rycerskiego obyczaju i życia.

Stąd pochodzą wąskie granice świata przedstawionego w romansie. Spotykamy w nim tylko rycerstwo, które żyje życiem bogatym w barwę i przepych, w wytworną sztuczność towarzyskiego obcowania. Nie ma tu śladu niesprawiedliwości społecznej, która w 1379 r. wywołała rewolucję chłopską, a która krzyczy z kart „Wizji o Piotrze Oraczu" dzieła współczesnego poety religijnego, Williama Langlanda. Nie ma nawet wzmianki i ludziach innego stanu niż rycerski, choć drugi współczesny poeta Geoffrey Chaucer w kilkanaście lat po powstaniu „Zielonego Rycerza" namalował całą galerię typów — przedstawicieli wszystkich stanów i zawodów — w sławnych „Opowieściach kantuaryjskich". W naszym romansie istnieje tylko zamknięty świat dworski. Nawet pojęcia moralne wyraża się w nim słownikiem feudalizmu. „Troszczył się o dworność" — mówi poeta o kuszonym Gawenie — „aby nie wydać się nikczemnym, a jeszcze bardziej o honor swój, aby nie zgrzeszyć i nie stać się zdrajcą względem pana zamku".

Etyka jest tu mocno uwarunkowana klasą społeczną i epoką historyczną.

Ale, choć świat „Sir Gawena i Zielonego Rycerza" jest tylko światem jednej warstwy społecznej, jest on wiernym odbiciem epoki. Jest to świat Edwarda II, wielkiego wodza



z pod Crecy, który szczycił się swą wiernością traktatom, który pozował na romantycznego Artura ustanawiając Okrągły Stół dla swoich rycerzy, który, według tradycji, miał włożyć na nogę podwiązkę zgubioną w tańcu przez piękną hrabinę Salisbury i ustanowić do dziś istniejący Order Podwiązki z dewizą „Biada temu, kto źle o tym myśli" — *Honny soit qui mal y pense...*

Dewiza ta zdobi rękopis Zielonego Rycerza. Powstało więc przypusz-

(Dokończenie na str. 9)

Włodzimierz WNUK

WIEVIEL KOSTET „MOWA POLSKA"

W MIKOŁAJKACH nie było tego dnia słońca. Miasteczko pogrążyło się w smutku, jak prawie zawsze w porze niepogodnej. Z mostu, spinającego łagodnym łukiem brzegi jeziora, tonął świat w barwach ołowiu i ciemnej zieleni, którymi nasiąka mazurski kraj, ilekroć tylko niebo się nad nim zachmurzy. Wsparty o poręcz chłonąłem w siebie ów osobliwy a tak dojmujący koloryt: w górze przestwór sino-mlecznych obłoków, a dołem wypolerowana, stalowa niemal gładź jeziorna. Nie rozweselał obrazu pas mrocznej zieleni ciągnący się zalesionym brzegiem między niebem a wodą. I nawet czerwone dachy domków, kiedy indziej ciepłe i miłe, przybrały odcień szaro-rudy. Jakby sam Smętek czmychnął z Puszczy Piskiej i przyczaił się w biednej mieścinie.

— Mojn! — zawołał przejeżdżający na rowerze chłopak.

— Morgen — odpowiedziała dziewczyna, która stała na moście w granatowej, mazurskiej spódnicy.

Nadeszło parę innych dziewcząt i wnet cała ich grupka rozgadała się na dobre. Nie wszystko rozumiałem z szybkiej, chaotycznej rozmowy, uchwyciłem w każdym razie jej epilog: „Nei, nei, Traute, sag mir nicht von dieser małpa". Pannica, która cisnęła te słowa, poszła sobie w kierunku gospody. „Ich muss nach zebranie gehen" — dorzuciła jeszcze z drogi.

Skierowałem i ja swoje kroki w stronę gospody, minąwszy ją jednak skręciłem na ulicę Kościelną, przy której mieszkał pastor. Byłem co prawda u niego przed kilku dniami, ale prosił mnie o ponowne odwiedziny — nie mieliśmy jeszcze wiele do omówienia; obiecał mi przy tym pokazać pewne stare druki przechowywane na plebanii. Obietnica kusiła mocno: lubię grzebać się w pożółkłych książkach i dokumentach, noszących na sobie daty wydania pełne nieraz romantyzmu i patosu historii.

Kiedy wszedłem do skromnej kancelarii parafialnej, pastor stał przy oknie i patrzył na swoje córeczki: jak dwa modre motyle trzepotały rączkami na murawie pod kościołem. W młodym, szczęśliwym ojcu trudno było rozpoznać duchownego, który od siedmiu lat rządził parafią ewangelicko-augsburską w Mikołajkach. I jakoś niegroźnie wyglądały w tej chwili jego pogróżki, że już dość ma udręki na trudnej, eksponowanej placówce mazurskiej, że chyba niedługo wróci w swoje rodzinne strony, na Śląsk Cieszyński.

Usadowiłem się w fotelu, a mój gospodarz otworzył tymczasem szafę i wyjął z niej parę podniszczonych tomów. Z daleka zdradzały się formatem i okładką: klasyczne mazurskie kancjonały, czyli zbiory pieśni kościelnych w języku polskim, ale o czcionce gotyckiej. Śpiewniki owe, wydane przeważnie w Królewcu w drugiej połowie XIX w., pochłonęły mą uwagę — oryginalne to a rzadkie dziś dokumenty — i byłbym ugrzązł zapewne w miłej sercu „szwabasze", gdyby nie... Gdyby nie jedna książka podsunięta mi przez pastora.

Wziąłem ją do ręki delektując się jej kształtem i lekkością. Z nader szlachetnego papieru musiała być spreparowana ta masywna, a przecież niewiele ważąca w dłoni książeczka o zgrabnym, wąskim formacie. Przewróciłem okładkę...

GRAMMATYKA
DLA SZKÓŁ NARODOWYCH
NA KLASSĘ I
1780

Głosił napis na prawej stronie tytułowej, zaopatrzonej u dołu okrągłą, czarną pieczęcią: „KOENIGL. KIRCHE ZU NIKOLAYKEN". Na stronie lewej ścieliły się przejrzystą czcionką słowa gdzieniegdzie tylko przeplatane kursywą:

Dzieło Grammatyka dla Szkół Narodowych przez Imci X. Onufrego Kopczyńskiego S. P. wyznaczonego do Komissyi Naszey ułożone, przez Towarzystwo do Xiąg Elementarnych roztrząśnione, Szkołom Narodowym do użycia, podług przepisów naszych, podajemy. W Warszawie d. 2. Października, Roku 1778.

IGNACY Xżę MASSALSKI Biskup Wileński
Prezydujący
MICHAŁ Xżę PONIATOWSKI Bisk. Płocki
AUGUST Xżę SUŁKOWSKI Wda Kaliski.
JOACHIM CHREPTOWICZ Pokan. W. X. L.
MICHAŁ MNISZECH Sekretarz W. X. L.
HIACYNT MAŁACHOWSKI Referend. Kor.
IGNACY POTOCKI Pisarz W. W X. L.
ADAM Xżę CZARTORYSKI Gen. Ziem Pod.
JEDRZEY MOKRONOWSKI Gen. Ins. Woysk Kor.
STANISŁAW Xżę PONIATOWSKI Gen. Lieut. W. K.
FRANCISZEK BIELIŃSKI Star. Czerski
ANDRZEJ ZAMOYSKI Kawal. Ord. Orła Białego.

Nie prędko zdołałem się oderwać od przedmowy wydawców. Po trzykroć, a może i więcej, przebiegałem oczyma jej tekst oraz nazwiska, które pod nim figurowały. Gdzieżeś to zawitał zacny pijarze, prawodawcą języka polskiego zwany? I gdzież to przyszło mi się spotkać z tobą, sławna Komisjo Edukacyjna, na sejmie rozbiorowym dla ratowania kultury narodowej ustanowiona? Trzeba było widocznie przywędrować aż tu, na odzyskaną ziemię mazurską, żeby wziąć w swoje ręce jeden z najpiękniejszych owoców twej pracy: dzieło przez Imci X. Onufrego Kopczyńskiego ułożone... Nie przypuszczał chyba uczony zakonnik, że jego książka przetrwa w kościele ewangelickim w Mikołajkach Fryderyka Wielkiego, Bismarcka i Hitlera, że kiedyś po dwustu latach...

„Gramatyk... chcąc poznać prawdziwie i gruntownie swoy język, i o nim podobnież rozumować, powinien naprzód przeyrzeć się w narodowym mówienia zwyczaiu, szukaiąc go nietylko w gminie prostym (często bardzo źle mówiącym) ale też między lepiey wychowanymi Obywatelami i takimi w narodzie Pisarzami, którzy prócz względu na rzecz Pism swoich, mieli osobny a troskliwy wzgląd na czystość i właściwość oyczystego języka, w którym pisali".

Pastor siedział przy biurku i sporządzał notatki do niedzielnego kazania, które zwykł był sumiennie przygotowywać i w pięknej wygłaszać polszczyźnie. A ja zwolna przerzucałem kartki dwujęzycznej gramatyki. Uczyła ona bowiem jednocześnie prawideł mowy polskiej i łacińskiej. Ale i czegoś więcej. Starczyło przypatrzeć się pierwszym z brzegu tekstom, które Ojciec Onufry poddawał analizie gramatycznej, by ową „nadwartość" dojrzeć i ocenić:

„Wstań dziecię weź xiążkę, przeczytay. Bądź mądrym, ośmiel się Surge puer sume librum, perlege. Sapere aude.

Nie nam tylko urodzeni iesteśmy: część nas oyczyzna przywłaszcza, część przyiaciele. Non nobis solum nati sumus: partem nostri patria vindicat, partem amici".

Z podwórza dolatywał szczebiot dziewczynek, gdzieś od jeziora niósł się terkot motorowej łodzi, pastor pisał w zeszycie coś niespiesznie namyślając się nad każdym słowem. Przeglądałem gramatykę w milczeniu dziwiąc się, że mocno sfatygowany podręcznik zachował się do naszych dni w tak świetnym stanie. Iluż to ludzi sięgało w wolnych chwilach po tę książeczkę, by reperować nią swoją polszczyznę, iluż parafian wypożyczało ją od plebana, żeby mowy swych ojców nie zapomnieć! W tabelce przymiotników ktoś dopisał ołówkiem przy niektórych wyrazach polskich ich odpowiedniki niemieckie: grzeczny — artig, posępny — trübe, płochy — scheu, szczodry — freigebig, porywczy — eilfertig... Dopiski bardzo już zamazane, ledwo czytelne.

Zapuszczając się coraz głębiej w dzieło wielkopolskiego księdza — O. Kopczyński był rodem z . . . . . . — dotarłem do „przypisów". I wtedy, szarpnąwszy mego gospodarza za rękaw, zacząłem czytać na głos:

„Wszelka mowa iest nakształt budynku z wielu części złożonego. Układ czyli ziednoczenie tych części zowie się po łacinie Constructio, po grecku Syntaxis, po naszemu Składnia. W obydwu budowach rozum ludzki iest Architektem. Dom dobrze stawiany, bywa wygodny, trwały i piękny. Mowa też dobra bywa zrozumiała, mocna i piękna.."

...Naturalność czyli prostota pierwotna z niezgrabności tylko okrzesana, iest po dziś dzień nayprzednieyszą cechą doskonałego Pisma. Wyobrażenia rzeczy zmysłowych, słońca, strumieni, gór, kwiatów, lasów, ognia, trzody, ptasząt ect., iak są w sobie łatwe i miłe, tak do odmalowania nayżywszych i nayskrytszych affektów, niewyczerpanemi i niesprzykrzonemi nigdy są, że tak rzekę farbami.

Jak uczniacy w szkole słuchaliśmy z pastorem wykładu pijara o duchu i prawach naszego języka. Słuchaliśmy jego mowy „zrozumiałej, mocnej i pięknej" uśmiechem kwitując autorskie skrupuły, że gramatyka z natury swej jest nauką suchą i nudną... Taką istotnie „piłą" stała się za następców Ojca Onufrego, podczas gdy on sam dał narodowi gramatykę „nigdy niesprzykrzonemi farbami malowaną". I żaden bodaj z nowszych językoznawców nie dorównał mu w umiejętności plastycznego i zajmującego wykładu o regułach mowy polskiej.

Myślałem o tym, ważąc książkę w dłoni. Co innego jednakże bardziej mnie zafrapowało. To mianowicie, że w „Grammatyce dla Szkół Narodowych" z 1780 roku imiesłów nazywa się imiesłowem, przysłówek przysłówkiem, cudzysłów cudzysłowem, przyimek przyimkiem, wykrzyknik wykrzyknikiem... I byłoby to bardzo dziwne, gdyby nie fakt, że właśnie X. Kopczyński stworzył owe terminy, że jego inwencji i intuicji zawdzięczamy nazwy, bez których trudno sobie dziś wyobrazić naukę języka polskiego. Jakże naturalnie i swojsko brzmi nam w uszach „wykrzyknik"! Zdawałoby się: stare, odwieczne, polskie słowo. W podręczniku naszego pijara czytamy:

„Wykrzyknik — nazwisko nowe, które daiemy wyrazom głośniey się wymawiaiącym, że znaczą affekt iaki, czyli większe w duszy poruszenie. Łacińskie nazwisko Interiectio, niby wrzucenie, nie tak iaśnie znaczyło, co chce i powinno znaczyć".

Taki to był z X. Kopczyńskiego majster i wynalazca. Nic dziwnego, że mu społeczeństwo wybiło w 1816 r. medal z napisem „Za Gramatykę Polskiego Języka — Ziomkowie". A biedni chłopcy na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie z czułością i politowaniem wspominali dziwacznego zakonnika, który im dawał po groszu, byleby tylko sprzedając obwarzanki wołali „obwarzanki", a nie „obarzanki".

Pożegnałem pastora z gramatyką pod pachą. Wypożyczyłem ją na parę dni, żeby trochę bliżej poobcować z „białym krukiem", tak niespodziewanie w Mikołajkach schwytanym. Lekkim i radosnym krokiem spieszyłem z powrotem nad jezioro, do przytulnego „Żeglarza". Idąc pod oknami małych parterowych domów spojrzałem raz jeszcze na datę wydania książki — 1780 — i na korowód nazwisk reprezentujących w niej Komisję Edukacyjną: Poniatowski, Sułkowski, Małachowski, Potocki, Czartoryski, Zamoyski...

Nagle — jak za dotknięciem różdżki — zbladła świetność historycznych nazwisk. Może sprawił to płacz dziecka, przenikający przez szyby mijanego okna wraz z wołaniem: „Mutti, Mutti...", a może ożyło we mnie naraz wspomnienie z ostatniej niedzieli, kiedy w kościele — w tym samym, w którym przez dziesiątki lat uczono się gramatyki X. Kopczyńskiego i śpiewano „Jeśli z nama Bóg nie będzie" — widziałem lud mazurski pochylony nad niemieckimi śpiewnikami i zawodzący „Wo Gott der Herr nicht bei uns"...



...Generałowie ziem podolskich, wojewodowie kijowscy i wołyńscy, kanclerze litewscy... Szli w szumie chorągwi wojennych nad Dniepr, Prypeć i Dźwinę, gdy 100 kilometrów na północ od Warszawy cierpiał w niewoli krzyżackiej a potem pruskiej lud mazurski. Zdobywali olbrzymie połacie Litwy, Białorusi i Ukrainy i tam ujarzmiali w swoich latyfundiach obce ludy, wyrzekając się macierzystych ziem polskich na zachodzie i północy kraju, wydając rodaków tam zamieszkałych na łup germanizacji. Ogniem i mieczem wojowano z chłopstwem na dalekich polach Ukrainy, a tymczasem w pobliskich Mikołajkach, Szczytnie, Piszu, Nidzicy gnębił Mazurów bezkarnie but „lennika" Polski. Tymczasem o miedzę za stolicą wyrastała złowieszcza potęga pruska, która doprowadzi do rozbiorów Rzeczypospolitej, z której wyrośnie kiedyś Rzesza Bismarcka i Hitlera.

Zacząłem sobie coś niecoś przypominać — ot, taki mały uliczny rozrachunek z historią. Bodaj bym go był nie robił! Ignacy Xżę Massalski, biskup wileński, prezydujący... Czyż to nie ten właśnie książę — prawda, że wszechstronnie wykształcony i dla ruchu Oświecenia zasłużony — którego lud Warszawy powiesił na szubienicy w dniach Insurekcji Kościuszkowskiej za to, że sprzedał carycy Polskę ograbiwszy przedtem jej skarb? Michał Xżę Poniatowski, biskup płocki... Nie, nie tylko biskup, ale ostatni prymas Polski przedrozbiorowej, który popełnił samobójstwo w czasie powstania w Warszawie lękając się losu Massalskiego. Niejedno wprawdzie zrobił dla oświaty i przemysłu, ale wysługiwał się Rosji i Prusom jednocześnie, słynąc przy tym z ogromnej chciwości. August Xżę Sułkowski, wojewoda kaliski... Człowiek o nieprzeciętnych zdolnościach i walorach umysłu, ale to o nim powiedziano, że był nałogowym sługą obcych dworów i jednym z najbardziej ujemnych typów swojej epoki...

Nie, nie przesłoniły mi te nazwiska postaci Chreptowicza, Potockiego, Zamoyskiego, ani księży Kołłątaja, Piramowicza, Kopczyńskiego, którzy wielkość umysłu łączyli z prawością charakteru i którzy dobrze się zapisali w pamięci narodu. Ale nie oni rządzili Polską. Nawet wśród tych kilkunastu możnych, którzy w imieniu Komisji Edukacyjnej firmowali dzieło X. Kopczyńskiego znalazło się tylko paru sprawiedliwych...

Ulica Kościelna przecina sam środek Mikołajek biegnąc od rynku do kościoł ewangelickiego. Skupiło się przy tej drodze kilka spożywczych sklepów i warsztatów rzemieślniczych przeplatanych izbami mieszkalnymi, jak to bywa w miasteczkach prowincjonalnych: w jednych oknach prezentują się spółdzielcze towary i wystawy fryzjersko-szewskie, w innych zaś doniczki z czerwonymi pelargoniami i białe ażurowe firanki. I tą właśnie uliczką wędrowałem w stronę rynku, kiedy naraz... Co u licha? Na środku drogi wyrósł przede mną tłum chłopców i dziewczynek przekrzykujących się wzajemnie i wymieniających sobie jakieś książki. Przechodziły one z rąk do rąk przy wtórze rozgorączkowanych gestów i nawoływań, to polskich, to niemieckich. Podszedłem bliżej do zbiegowiska: dzieciarnia handlowała podręcznikami szkolnymi. Trzeci września...

Handel odbywał się przed sklepem Spółdzielni Gminnej „Samopomoc Chłopska". W jego wnętrzu huczało jeszcze bardziej niż na dworze. Przy ladzie z książkami tłoczyła się chmara dzieci. Rudowłosa, sympatyczna ekspedientka z trudem panowała nad sytuacją. Koleżanki, sprzedające przy sąsiednich ladach wódkę, cukier, mąkę, buty, materiały na ubranie, śmiały się z zaharowanej dziewczyny: przyszła i na nią kolej...

— „Mowa polska"!
— „Nasz język"!
— „Poznaj swój kraj"!
— „Botanika"!
— „Nauka o Polsce"!

padały co chwila tytuły książek, po które wyciągali łapczywe ręce najbardziej niecierpliwi z klientów. Krzykliwej tej gromadce, przeważnie dość biednie ubranej, nadawali ton autochtoni zdradzający się twardą, szorstką wymową. No i swoistym, dwujęzycznym żargonem. Zwinnym ruchom ekspedientki, obsługującej w mig małych, az za dobrze jej znanych obywateli — sama była rodem z Mikołajek — towarzyszył nieustający jazgot. — Klaus, komm — a — jer, hab schon „Gramatyka" na piąła klasa. — Gib mir, Irma, zwei złoty, muszę „Historię" kupsić, sie kostet mehr als ich dachte Proszę pani, kiedy będzie „Dzień dzisiejszy"? — Gerard, wieviel kostet „Mowa polska"?

Stałem na uboczu rozglądając się niby po półkach. Patrzyłem na mikołajewskich żaków... Ich ojcowie, prawie wszyscy, zginęli „für Führer und Vaterland", bądź przebywają „za Odrą". W kraju zostały jedynie matki ciężko borykające się z życiem, nie umiejące już przeważnie mówić po polsku. Matki — i dziadkowie, którzy tę „gadkę" dobrze jeszcze pamiętają, którzy nią mówią w dalszym ciągu. I dziś, poprzez średnie pokolenie mazurskie, dość gruntownie zniemczone, dziadkowie podają ręce swoim wnukom...

Zapadł już wieczór, kiedy, z gramatyką Ojca Onufrego pod pazuchą, wracałem do „Żeglarza". Ani jedna gwiazda nie świeciła na pochmurnym niebie, od jeziora niósł się cichy, monotonny plusk. Z jarzących się okien „Gospody" padały na granatową wodę świetliste snopy. Tęskliwe dźwięki kujawiaka ginęły gdzieś w szumie drzew, na moście szeptało dwoje młodych ludzi przechylonych przez poręcz. A mnie wciąż brzmiało w uszach: „Wieviel kostet mowa polska"?

Opowieść o Zielonym Rycerzu

Dokończenie ze str. 7

czenie, że romans był utworem okolicznościowym, napisany z powodu jakiejś dworskiej uroczystości. Zielona przepaska jest niewątpliwie odpowiednikiem Podwiązki.

Wszystko w tym przedziwnym utworze jest prawdziwe. Nie tylko niezwykły realizm opisów przyrody, pogody, szat odmalowanych w najdrobniejszych szczegółach, scen dworskich i scen polowania, ale i pewna przerafinowana sztuczność bycia — *courtesy* — dworność. I gdy przyłapujemy rycerskiego Edwarda na tym, jak w kronice Froissarta kusi pod nieobecność męża dzielną hrabinę Salisbury, będąc gościem w jej zamku, widzimy taką samą próbę zwycięskiej czystości i lojalności, tylko role są odwrócone. Atmosfera jest ta sama. Język grzechu i język cnoty te same. I wówczas przychodzi na myśl, że wjazd Zielonego Rycerza w zielonej masce ze złotą brodą mógł być echem karnawałowych zabaw dworskich, które w dwieście lat później odżyły pod wpływem włoskiej mody jako tzw. „maski".

Poeta nie poprzestaje jednak na wiernym odtworzeniu zewnętrznej strony życia panów feudalnych. Sięga głębiej. I dlatego właśnie Zielony Rycerz wybucha śmiechem na widok rycerzy, którzy nie śmią podjąć wyzwania. Jeden tylko znalazł się dzielny i, co więcej, czysty, ale i ten nawet okazał zrozumiałą u człowieka słabość. Inni są jak groch przy perle. H. Hecht słusznie twierdzi w *Englische Literatur im Mittelalter*, że było to ostrzeżenie dla dworu Edwarda III, gdzie pod rycerskim polorem kryła się zgnilizna. Świadczyłby o tym i ten szczegół, że niechęć Morgan le Fay kieruje się przeciw Ginewrze, która zdradzała Artura z Sir Lancelotem, jak to wiadomo z innych romansów.

Rycerskość dworu angielskiego w XIV w. opierała się na pozorze. Froissart świadczy o chwiejności moralnej Edwarda. Rozpoczęcie Wojny Stuletniej, mimo złożenia hołdu lennego królowi Francji wskazuje na nietrwałość dewizy *Pactum serva!* Nawet bitwa pod Crecy, zwycięstwo wspaniałe, była świadectwem przeżycia się rycerstwa. Anglicy wygrali ją dzięki kmieciom-łucznikom i spieszeniu rycerstwa. Średniowiecze zaczynało się kończyć...

Autor „Sir Gawena i Zielonego Rycerza" musiał to widzieć. Tylko, że jako człowiek związany z grupą społeczną, która zaczynała przekwitać, a przy tym jako człowiek z prowincji, widział ratunek w przeszłości, w powrocie do ducha wczesnego rycerstwa — ducha Św. Ludwika, ducha „Parcevala" Chretien de Troyes i „Parzivala" wielkiego Wolframa von Eschenbach. Pobożność, czystość, odwaga i słowność czynią, według niego, rycerza, choć nie przekreślają dworności — wykwintnej światowości.

Szczęściem dla poety (i poematu) był on żyjącym dla Boga chrześcijaninem. Jego życie duchowe, jak wiemy z innych utworów, było życiem Łaski, która, wyzwala jednostkę z ograniczeń epoki, w której żyje i klasy, do której należy. I dlatego autor „Sir Gawena i Zielonego Rycerza" sięgał tylko po wzory moralne przeszłości, nie pragnąc zahamowania naturalnego rozwoju formacji społecznej. Pragnął przepojenia życia dworskiego najwyższym pięknem moralnym — świętością.

Gdy Gawen modli się o schronienie w wieczór wigilijny, aby wypełnić obowiązek chrześcijanina, gdy po cichu spowiada się po zmaganiach z pokusą, gdy widzi w jedwabnej przepasce symbol swej hańby, podczas gdy inni słusznie widzą wielkie zwycięstwo ułomnej ludzkiej natury — to mamy tu do czynienia z psychologią świętości — owocem wiary i życia, których korzeniem jest Chrystus.

Jedynie światopogląd uniwersalnej religii, wyprowadza poetę, rozkochanego w życiu dworskim poza jego ciasne granice. Nieskazitelność moralna prowadzi do krytyki życia feudalnego.

Jest jeszcze jeden moment w tym romansie: miłość świata, rozkoszowanie się fizycznym pięknem. Są ludzie żywi, nie personifikacje wad i cnót, jak w moratelitach. Jest delikatny humor. Jest nieznana średniowieczu, budząca podziw umiejętność artystycznej syntezy, konstrukcji, scharmonizowania treści i formy przy największej oszczędności środków.

Fabuła układa się systematycznie: (na dworze Artura — Gawen samotny — na dworze Zielonego Rycerza — Gawen samotny), i jest zamknięta w czasową ramę dwóch Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Świat ludzki skontrastowany jest ze światem przyrody, a oba promienieją świeżością i pięknem.

Cała masa artystycznych kontrastów — magia i namacalna codzienność: srogość zimy i wrogość dziczy leśnej przeciwstawione ciepłu ognia i ciała w komnacie; wysiłek i zgiełk polowania skontrastowane miękkością wczasu i pięknej pani: beztroska zabawa w przeddzień śmierci — to dowody wielkiego talentu i to talentu, który wykracza poza praktykę Średniowiecza.

Taką barwę, symetrię, ukochanie świata, spotykamy tylko u Geoffreya Chaucera, który jest pierwszym poetą humanizmu w Anglii XIV w. „Sir Gawen i Zielony Rycerz" jest więc syntezą Średniowiecza i humanizmu w duchu katolickim. Jak „Boska Komedia", a może w większym stopniu, stoi na pograniczu dwóch okresów, jest „arką przymierza między dawnymi a nowymi laty".

Taką syntezę światowości i ascezy, która może zachodzić tylko tam, gdzie duch chrześcijański jest najbardziej powszechny, gdzie najpełniej naśladuje Chrystusa, spotykamy później u św. Tomasza More'a, autora „Utopii". Chciało by się coś wiedzieć o nieznanym poecie, który wyprzedził pierwszego nowożytnego świętego prawie o półtora wieku!

Opowieść o Zielonym Rycerzu doczekała się naśladownictw w wiekach późniejszych, ale były to bledziutkie cienie oryginału. W 1901 r. niemiecki pisarz E. Stucken wznowił temat romansu w misterium pt. „Gawan".

To, że „Sir Gawen i Zielony Rycerz jest prawie nieznany i niedostępny dla dzisiejszego czytelnika, jest skutkiem starego języka i dialektu. Posiadamy wprawdzie dwa tłumaczenia tego romansu na język dzisiejszy: jedno — amerykańskie — dokonane przez George'a K. Andersona, drugie — angielskie — oddane wierszem przez Kennetha Hare, dokonane w 1948 r., ale i one są rzadkością.

A przecież warto posłuchać tej starodawnej opowieści wigilijnej, gdy święcimy pamiątkę Bożych Narodzin.

Witold Ostrowski

Przeciw groźnej mistyfikacji

(Dokończenie ze str. 6)

my się dziwić, że teoretycy materializmu filozoficznego krytykując powiązania religii z ustrojem kapitalistycznym nie rozróżniają tego co w niej jest wieczne, od tego co doczesne i zmienne, skoro sami katolicy tego rozróżnienia nie są świadomi? Ideologicznym sprzymierzeńcem dokonywanych przez klasy wyzyskujące nadużyć religii jest pogrążenie mas katolickich w wielu krajach w prymitywnym i błędnym doktrynalnie sposobie rozumienia wiary i jej powiązań z życiem, przede wszystkim zaś w uleganiu błędowi myślowemu, który nosi nazwę integryzmu.

*

Podczas trwającego wiosną b.r. Kongresu Eucharystycznego w Barcelonie mimo kordonów policji i aresztowań, podziemnym organizacjom katolików katalońskich udało się rozpowszechnić ulotki antyfrankistowskie. Jedna z tych ulotek zawierała wymowne zestawienie. Po jednej stronie znajdowało się aktualne zdjęcie rzeszy prałatów witających u wrót kościoła generała Franco odpowiedzialnego za wojnę domową w Hiszpanii. Po drugiej — reprodukcja obrazu Van Dycka ze św. Ambrożym zagradzającym wejście do kościoła cesarzowi Teodozjuszowi, ponieważ jego ręce splamione zostały krwią ofiar rzezi w Tessalonikach.

Zestawienie to swoją wymową woła nie tylko do katolików hiszpańskich, ale do katolików całego świata. W okresie współczesnego przełomu, gdy jedna formacja historyczna w ciężkich walkach ustępuje miejsca innej, możliwość pełnienia misji Kościoła w nowej epoce uzależniona jest od tego, czy katolicy współcześni zdobędą się na odwagę św. Ambrożego, czy powtarzając niejako gest Chrystusa przepędzającego przekupniów ze świątyni — potrafią dać stanowczą odprawę zagrożonym przez przemiany społeczne i dążącym do wojny siłom obozu kapitalistycznego, które próbują wtargnąć w życie Kościoła z arsenałem zakłamania, pseudoreligijnych haseł, by uczynić Kościół wspólnikiem przygotowywanej przez siebie zbrodni. Głos protestu musi być głosem wszystkich katolików, świadomych że tym krokiem służą sprawie oczyszczenia i wzmocnienia Kościoła oraz przyczyniają się do rozwiania tragicznego nieporozumienia, które każe katolicyzm widzieć rozdzielony z nową epoką historyczną, w jaką ludzkość wstępuje.

Janusz Zabłocki

Kazimiera IŁŁAKOWICZÓWNA

Ballada o biskupie Nankierze i o chłopcu, co gruszki kradł albo jak biskup Nankier most przedłużył

Konrad Schmidt miał coś z dziesięć lat,
wlazł garncarzowi Müllerowi do sadu, gruszki kradł
Złapał go Herr Müller na tym srogim przestępstwie,
bił mocno i długo, ile sił w pięściach,
skrwawionego piekarzowi Schmidtowi, ojcu, oddał.
„Niech mu tam kum coś od siebie doda".

„Ja wohl".

Konradek nie użalał się byle komu:
zebrał chrustu suchego, cztery wiązki słomy,
chodził z twarzą ząciętą — lato było skwarne —
czekał aż garncarze przed jarmarkiem nalepili garnków:
„Będziesz ty mnie, stary wieprzu, pamiętał długo."
Podpalił garncarzom drewniane budy.

Spaliła się ćwierć miasta, spalił się Schmidt piekarz.
Chłopaka skryła matka. Musiał z miasta uciekać.
Wędrował, wędrował, a zbrodni nie żałował,
aż trafił nie wiadomo jak do miasta Krakowa,
tam przystał do piekarni. Gdy w terminie siedzi,
na Wielkanoc go posłał majster do spowiedzi.

Zafrasował się Konrad: spowiedzi zaniecha.
Po latach bez pokuty jakże wyznać grzech swój?
„Nie ma takiego księdza. Nie rodzi się co dnia
ktoś kto by absolucję dał od takiej zbrodni.
Spaliłem ja wszak pół miasta, nim z niego uciekłem.
Należy mi się piekło.

„Ja wohl".

Siedzi skulony, jak zły kundel w budzie,
a konfesjonał oblężon przez ludzi,
bo w tym kościele Mariackim rankiem
spowiada sam biskup krakowski Nankier.
Słucha winnych, a gdy do gniewu chwyta go pokusa,
spogląda na schyloną w cierniach twarz Chrystusa.

Spogląda... I nagle biskup się przestraszył,
bo Chrystus podniósł głowę, w kąt ciemny popatrzył
Więc zoczył biskup, i aż mrowie go przechodzi,
że tam do kąta ławki przypadł jakiś młodzik,
a tuż za nim w kupieckim przebraniu ormiańskim
czuwa wysłaniec szatański.

Zrywa się Nankier, rozsuwa tłum,
od konfesjonału biegnie przez tłum.
„Nieszczęsny, szatana poniechaj,
pójdź, wyznaj grzechy.
Klękaj mi zaraz i powiedz wszystko,
to ci rozkazuję ja, biskup".

Co i jak było, nie dowie się nikt.
Młodzik się wyspowiadał, a szatan znikł.
Nie długo potem Nankier
biskup zabawił na krakowskim Zamku;
już go, gdy cnotą i mądrością się wsławił,
mianują do Wrocławia.

Gdy na swej wyspie pewnego dnia
zażywa spoczynku,
donieśli mu, że z miasta przestępca gna,
który miał być spalony w Rynku.
„Uratuje się, jeśli się przedrze
przez pogoń na most przy katedrze".

Wychodzi biskup z klerem na most
— gniewny i smutny.
„Znów brata swego skazał na stos
ten lud okrutny.
Klęknijmyż tu, przy tym moście
o ratunek dla zbiega prosić".

Zbawczego miejsca dopada zbieg
za nim tłum wrogi,
gdy wtem ktoś kłodę cisnął na brzeg
przestępcy pod nogi.
Chce go tym drewnem obalić,
by go kaci w ręce dostali.

Patrzy biskup, a wśród goniących
w kupieckim przebraniu ormiańskim,
zagrzewa, namawia, szczuje i trąca
niejeden wysłaniec szatański.
Więc zapłonęły mu oczy
i z mostu na ziemię skoczy.

„Wstrzymajcie tę pogoń. Oto zrzucam płaszcz
mój biskupi.
Przedłużam most: więzień jest nasz.
Jam go od dawna kupił.
Władzą, która mi dana,
Wykupiłem go ze szponów szatana.

Chcieliście oddać płomieniowi na żer,
męża — za zbrodnię dziecka...
Spojrzyjcie w siebie, w głąb waszych serc
rozżartych krwi żądzą zbójecką.
Zaiste, duch, co wiecznie kłamie,
uzbraja sprawiedliwości tej ramię".

I rozeszli się milcząc posępni mieszczanie.
A więzień, Konrad Schmidt, w biskupiej Nyssie szczęśliwie
zakończył zakonny żywot.

Jerzy STADNICKI

ELKI WIGILIE

1. SMUGA CIEPŁA

MIESZKANKO małe, zawalone gratami, nie wietrzone od dawna, przedstawiało obraz żałosnego brudu i bałaganu. Na stole, na wszystkich krzesłach stały niepomyte garnki, leżały zabawki, poniewierały się dziecinne ubrania. Zdzisiek i Zuzia nie chcieli leżeć w łóżkach, odkrywali się, psocili, rozrzucali pościel na wszystkie strony. Katarzyna od rana nieumyta, rozczochrana, z wygasłym papierosem w ustach imała się dziesięciu robót jednocześnie. Władysław pomagał jak mógł: oskrobał już ziemniaki i zmierzył dzieciom gorączkę, a teraz mozolił się z piecem, w którym znowu wygasło. Dmuchał w palenisko z impetem aż pokryła go warstwa popiołu i sadzy. Od czasu do czasu rzucał stroskane spojrzenie na żonę: Kasia źle wyglądała, oczy miała podkrążone, świecące niedrowym blaskiem. Zanosiła się cała od suchego kaszlu. Przy skrobaniu ryby zacięła się do krwi.

— Poszukam wody utlenionej powiedział Władysław.

Kasia ciężko usiadła na krześle.

— Zostaw. Nie ma wody utlenionej. Nic nie ma w tym domu. Jesteśmy kompletne dziady. Już nic mi się nie chce.

— Czekaj Kasiu. Nie można tak. Możesz dostać zakażenia.

— Mogę dostać zakażenia. I najlepiej, żebym umarła.

Władysław spojrzał na nią z wyrzutem.

— Dlaczego mówisz takie głupstwa przy dzieciach? szepnął.

Kobieta nagle wybuchnęła płaczem.

—Mam dosyć dzieci, mam dosyć życia, mam dosyć tego wszystkiego! Co ja mam z życia! Powiedzno powiedz: co ja mam z życia! Czy można taką egzystencję nadal prowadzić? Ty chory, ja chora, dzieci chore, gonimy resztkami sił. Z sanatorium w przyszłym roku znowu nic nie będzie... Na prawdę nie wiem poco my urządzamy te Święta. To idiotyzm, to nie ma najmniejszego sensu. Co komu po takich świętach? Tobie? Mnie? Dzieciom? Niby się to robi dla dzieci, a one z tego tylko mają jeszcze gorszą i opiekę i jeszcze większy bałagan. I ta Elka nie przyjeżdża!

— Jeszcze jest jeden pociąg.

— Tak, znowu przyjedzie w środku nocy, ani jej gdzie położyć ani co jej dać zjeść... Nie mogę już, na prawde nie mogę!

— Uspokój się Katarzyna. Zapal papierosa, zrobię tobie i sobie kawy.

— Zrób.

Władysław włączył prąd do imbryka. Kasia zapalała czwarty raz z rzędu tego samego papierosa. Siedziała na swoim krześle pochylona w niewygodnej pozycji do przodu, tępo spoglądając przed siebie.

— Jaki ona ma tragiczny wyraz, myślał Władysław. Taka piękna kobieta, taka młoda — ktoby to pomyślał. Wygląda strasznie.

Tymczasem Zuzia i Zdzisiek korzystali z nieuwagi rodziców: poprzez stykające się szczyty łóżek nawiązali niegrzecznościowe kontakty. Nożyczkami które miały służyć do wycinania koszyczków i gwiazdek na drzewko Zuzia wymachiwała bratu przed nosem, z wielkim niebezpieczeństwem dla jego oczu. Zdziś usiłował odebrać siostrze nożyczki. Szamotali się w swoich długich koszulach. Zuzia była silniejsza. Zdzisiek zawziętszy. Widząc, że nie podoła siostrze ugryzł ją w rękę. Zuzia wrzasnęła przeraźliwie, puściła nożyczki i ujàwszy braterską czuprynę oburącz zaczęła nią tarmosić systematycznie i z pasją. Jedno z łóżeczek, łóżko Zuzi trzasnęło trzaskiem niepokojąco i zawaliło się całe, przyczym dziewczynka znikła razem z pościelą, pociągając brata w chaos desek, poduszek, kołder zabawek oraz czworga nóg i rąk. Złocista struga popłynęła z rozbitego nocniczka na środek pokoju.

Rodzice podbiegli starając się opanować sytuację. Naprawienie łóżka, utulenie dzieci, rozstrzygnięcie „kto zaczął", zaprowadzenie względnego porządku zajęło im blisko godzinę. Wśród tego wszystkiego woda wygotowała się niepostrzeżenie z elektrycznego imbryka, który rozgrzał się do czerwoności a przypalony blat stołu zacząął promieniować charakterystyczną wonią. Władyław przypadł i wyłączył prąd, jednkże było za poźno; imbryk nadawał się już tylko do wyrzucenia.

Kasia patrzyła nań z żalem.

— Prezent ślubny od Elki. Tak go lubiłam. Już nawet kawy nie będziemy sobie mogli zrobić. Wszystko tak, wszystko...

Spojrzała na zegar.

— Dlaczego tej Elki nie ma? Nie przyjedzie? Jak my sobie damy bez niej radę?

Władysław się żachnął.

— Taka i z Elki pomoc...

— Zawsze! Przynajmniej by posiedziała przy dzieciach. Dzieci ją bardzo lubią.

— A ty?

— Ja? zdziwiła się Kasia. Ja ją kocham. Przecież to moja siostra.

— Ale jej nie lubisz?

— Jakto? Aha! Może. Być może, że ją kocham ale jej nie lubię. Tęsknię za nią jak jej nie ma, ale kiedy ją widzę to mi strasznie działa na nerwy.

— Telegram wysłałem przedwczoraj. Albo się spóźniła na pociąg, albo zabłądziła w drodze.

— Żartujesz?

— Oczywiście, że żartuję: zabłądzić nie mogła. Ale co z tego typu człowiekiem można wiedzieć... Żeby raz jeden coś załatwiła do sensu. Mówiłem żeby jej nie sprowadzać.

— Dobryś sobie! A jakbym ja sobie dała radę z chorymi dziećmi i ze świętami?

— Mamusiu, zawołała Zuzia, dlaczego cioci nie ma?

Ponieważ nikt jej nie odpowiadał, zawołała jeszcze kilka razy:

— Mamusiu, dlaczego cioci nie ma? Ma mu siu dla cze-go cio ci nie ma? MA MU SIU DLA CZE GO CIO-CI-NIE MA?



— Och bądź-że już raz cicho ty smarkata, wybuchnęła matka.

— Daj spokój Kasiu, nie wyładowuj się na dziecku.

— Kiedy to już na prawdę przechodzi granice wytrzymałości nerwowej!

— Zuzia umilkła strwożona. Katarzyna po chwili podjęła spokojniej:

— I Tomek chory, Tomka nie zobaczę.. Najwięcej się cieszyłam na Tomka. Już go rok i trzy miesiące nie widziałam.

— Ty go najbardziej kochasz z rodziny.

— Najbardziej, ożywiła się Kasia. Taki jest wesoły, taki... promienny, taki zawsze w dobrym humorze. Wiesz że kiedy był w Mathausem to najbardziej się bałam nie o to, że zginie, ale żeby nie wrócił zmieniony, złamany i że go będę takim musiała widzieć już przez całe życie. I pomyśl sobie, moją radość kiedy — nie, kiedy go zobaczyłam takiego samego jak przedtem.

Elka kocha go może bardziej ode mnie. Gdyby on wtenczas zginął, to ona by tego chyba nie przeżyła. Czy wiesz, że ona cały czas, jak on siedział nosiła nasze paczki na pocztę do Libiąży, to blisko 5 km i zawsze na piechotę i w każdy czas. A kiedy się jej pytałam, parę razy się pytałam, dlaczego sobie jakoś nie zorganizuje, żeby ją ktoś podwiózł, albo co, to nigdy nie chciała nic mowić,- tylko się uśmiechała po swojemu jak to ona. Aż raz się przyznała. Powiedziała że każdy z nas coś daje na te paczki, jeden jedzenie, drugi pieniądze a ona nic nie może dawać, to niech będzie przynajmniej jej trud.

— Tak to typowe jej.

—Typowe. Ta jakaś mistyczna wiara w wartość poświęcenia. Ot —

Rozmowę przerwał dzwonek.

— Może to ona, poderwała się Kasia do drzwi.

W progu ukazała się kobieta, nie pierwszej młodości, dziwacznie przybrana w kapuzę jakąś, płaszcz z ciemnego sukna, długi i wąski, do sutanny podobny; wysokie, sznurowane buciki i niesłychany zarękawek z białych królików. Na plecach dźwigała bezkształtny tłumok, w ręku miała kostur i z tym wszystkim była czymś bezpośrednim między św. Mikołajem, a dziadem, ktorym się straszy dzieci. Pomimo to Zdzisiek i Zuzia zerwali się z łóżeczek z kolosalnym wrzaskiem: Ciocia Elka! Ciociula! Ciociu Elko chodź! Kasia obejmowała już siostrę i pomagała jej się rozbierać;

Władysław obserwował szwagierke w milczeniu; jako mniej do Elki przywykły doznawał zawsze na jej widok potrosze zawstydzenia, że to jednak członek rodziny, a potrosze zainteresowanie badacza, studiującego niezwykły eksponat.

Kiedy Elkę rozwinięto z rozlicznych szalików i swetrów ukazała się kobieta lat może trzydziestu, może czterdziestu a nawet pięćdziesięciu o zasuszonym typie starej panny i rysach, jak często u starych panien, zastanawiająco dziecinnych i wdzięcznych. Nie odpowiadając na pytania domowników pochyliła się nad swoim tobołem, wyrzucając zeń na podłogę mydło w gazetę owinięte, długie, czarne trykotowe pantalony, robotę na drutach, kawałki chleba i sera, aż wreszcie odnalazła przedmiot poszukiwań: dwie spore paczki landrynek, dziecinną strzelbę i lalkę szmaciankę i z tym wszystkim sunęła w stronę dzieci.

— Tylko ich nie całuj, mają szkarlatynę! ostrzegała Kasia. Ale dzieci obsypywały już ciotkę pocałunkami, przywarły do niej, zmieszały się z nią.

— Ciociula, a ja zato wycinam koszyczki, o — patrz!

—Ciociula długo z nami będzie?

— Ciociula, nie całuj Zdziska, Zdzisek jest brzydki.

— Zuziu nie trzeba tak mówić, dzisiaj jest wilia!

— Elko napijesz się herbaty, czy kawy?

— Nie prawda, to Zuzia jest brzydka! Zuza-buza!

— Zdzisieczku, nie mów tak nieładnie do Zuzi.

— Kiedy cIociu Zuza jest paskudna?

— Usiądź-że Elko! Dzieci, nie męczcie cioci Elki!

— Zdzisiu badź miłutki dla Zuzi, opowiem ci bajkę...

— Zuza! Buza! Papuza!

— Ciociu! Nooo! Jak on mnie lekceważąco nazywa!

— ...długą, długą bajkę.

— Elko, dlaczego właściwie tak późno przyjechałaś?

— Bajkę! Ciociula opowie bajkę! O smoku!

— Nie, o Jasiu, co chodził na grzybki!

— Ciociu ale ta lalka wcale mi się nie podoba!

W czasie obiadu złożonego z pieczonych ziemniaków, kiszonej kapusty, skumbrii w tomacie (bum) herbaty i chleba, Elka opowiadała o swoich przygodach w podróży. Wyjechała poprzedniego wieczoru i poznała skoiei zakonnika który miał taki uduchowniony wyraz twarzy. Wdała się z nim w teologiczną dysputę tak absorbującą, że nie zauważyło w nocy swojej stacji. W ten sposób zajechała aż do Mławy, a że stamtąd połączenia nie było musiała najmować furmankę, co kosztowało masę pieniędzy. Martwi się teraz, bo ani jednej doby nie spędzą razem. Musi nazajutrz wyjeżdżać.

— To przecież nie ma najmniejszego sensu! W pierwszy dzień świąt!

— Nie, w wilię.

— Przecież dzisiaj jest wilia.

— Tak, wy obchodzicie liturgicznie. Bo w tym roku wilia wypada w niedzielę, więc jedni obchodzą 23-go, a drudzy 24-go. Ale ja muszę jechać. Przecież ktoś musi się zająć Tomkiem.

Władysław uznał za stosowne wmieszać się do dyskusji:

— Moja droga, mnie się zdaje że przesadzasz. Tomek jest wprawdzie chory, ale to przecież tylko grypa.

— No właśnie, z tego najłatwiej o zapalenie płuc, a z zapalenia płuc już tylko jeden krok do galopujących suchot. Tak mówi siostra Kolumba...

— Siostra Kolumba bzdury plecie!

— Władku! To jest zakonnica! Zresztą Tomek taki dziecinny...

— Skądże!

— Ale niezaradny.

— Już ty miej tylko połowę jego zaradności.. Więc zostajesz?

— Kiedy... Elka się zaczerwieniła, ja nie jadę tylko do Tomka.

— A gdzie chcesz jeszcze jechać? Do Częstochowy? Do Kalwarii? Do Gidlów?

— Śmiejecie się ze mnie...

— Bo pewnie znowu uczyniłaś jakiś ślub.

— Ciociola wzięła ślub?

— Zuziu, proszę się nie wtrącać do rozmowy starszych. No więc przyznaj się Elko, jaki zamierzasz spełnić religijny czy miłosierny uczynek.

Elka płonęła jak piwonia...

— Wiecie, babcia taka... sama, taka... sama, taka....

— Sama. Elko! Zdobądźże się raz na szaleństwo logiki: mieliśmy wszyscy zjechać do babci na święta. No — cóż, Tomek dostał grypy, dzieci szkarlatyny. Wezwaliśmy cię telegraficznie, bo nam bardzo ciężko. Mogłaś nie przyjeżdżać do nas, tylko do babci, albo do Tomka. Wybrałaś nas i bardzo ci oboje jesteśmy za to wdzięczni. Ale jak wyjeżdżasz po jednej nocy, to tym samym przekreślasz dobrodziejstwo, przyjadu. I w rezultacie nie zrobisz nikomu przyjemności, a wydasz mnóstwo pieniędzy.

— Słuchajcie... ja was strasznie przepraszam... ale no powiedzcie sami, jak ja mogę nie jechać do babci. To jest jedyna radość, jaka została w jej życiu, te święta które spędza z nami. Na pewno się cieszyła na nie cały rok.

— No to trzeba było jechać do babci.

— A czy ja mogę was zostawić samych? A czy mogę zostawić Tomka samego, kiedy on chory.

— Tomek nie jest sam tylko z pięcioma kochankami.

— Kasiu! Nawet w żartach nie powinno się mówić takich rzeczy. Tomek jest... porządny!

Śmiech małżonków zabrzmiał tym razem beztrosko.

— Nie, ona jest wspaniała! Tomek jest porządny! Zapewne, że jest porządny, kochany złoty chłopak. No dobrze, Elko, nic nie jesz!

— Masę jem.

— Wcale tego nie widać. Chleba i kartofli jeszcze u nas dosyć. — zapewniam was...

— Przecież musisz być głodna po takiej drodze. Nie umarwiaj się!

— Kiedy... trzeba się umartwiać. Dzisiaj jest post ścisły.

— Ale jesteś w podróży i przestań robić komedie.

— Nie zmuszaj jej Kasiu jest pełnoletnia i wie co robi. No dobrze, ja idę w końcu napalić w tym piecu.

— Siedź, zawołała Elka i wypal spokojnie papierosa. Już ja pójdę napalić!

Elka zaczęła się uaktywniać. Ubywało roboty pod jej zniszczonymi rękami. Pomiędzy paleniem w piecu a gotowaniem kapusty dobyła triumfalnie z plecaka mazurek i struclę. Strucla była oczywiście w proszku.

— To zawsze tak ze struclami, tłumaczyła Elka bez wstydu. Siostra Kolumba mówiła, że nie dojedzie.

— Trzeba to spaść dziećmi, zawyrokował Władysław.

— Taak! ucieszyli się Zuzia i Zdzisiek.

— Nie teraz wieczorem, oświadczyła Elka. Teraz jest wilia i post. Nauczę was teraz robić łańcuchy na drzewko.

— Ooo! Dobrze! entuzjazmował się Zdzisiek. My już umiemy!

— No to wy będziecie mnie uczyć.

W czasie tej nauki ktoś mówił w sąsiednim pokoju:

— Ona jest strasznie poczciwa, ale jaki to ma sens! Wydaje pieniądze i nikt z tego nic nie ma. Strucla się rozleciała, mazurek z zakalcem. Za te pieniądze możnaby było Zdzisiowi kupić buciki.

— Uważaj ciociula, krajesz za grube paski, taką robota to na nic.

— Przepraszam, mówiła Elka pociągając zaczerwienionym nosem. Już będę uważać, uśmiechnęła się do siostrzeńca.

Tymczasem ubywało krótkiego dnia. Wraz z pomarańczową tonacją lampy spłynęły na pokój odcienie serdeczne. Szepty wieczoru otuliły pięć ludzkich egzystencji. Siano było na stole, na nim obrus i dwie świece, nieodmienne rekwizyty dziecinnych lat, raz do roku budzonych z niepamięci.

W czasie dzielenia się opłatkiem Elka powiedziała do Kasi:

— Życzę ci obfitych łask bożych i żebyś kochała Serce Jezusowe bardzo, bardzo. I żeby wszystkie twoje dzieci były świętymi.

— Tego trzeba życzyć Tomkowi uśmiechnął się Władysław, ale szanse spełnienia życzenia są nikłe. A nie życzysz nam trochę więcej pieniędzy?

— Życzę, odparła Elka z namaszczeniem, będziecie mieli pieniądze. A teraz — pokażę wam prezenty.

Kasi przypadł w udziale szalik z drapiącej włóczki, Władysławowi popielniczka ze słoniem.

— Pięknie ci dziękuję. Będzie jeszcze jedna do kolekcji.

— Wiem, że masz ich dużo, odparła rezolutnie Elka, ale wszystkie twoje słonie mają opuszczoną trąbę więc ja ci kupiłam taką ze słoniem, co ma trąbę do góry, bo to oznacza powodzenie.

Pokażę wam jeszcze, co mam dla Tomka.

Tomkowi był przeznaczony sweter.

— Ale Tomek przecież nie będzie czegoś takiego nosił, zawołała Kasia taki dżoller jak on! I, po prawdzie ten sweter jest... dziwny.

Na twarzy Elki odmalował się zawód.

— Taaak? A ja myślałam, że on się tak ucieszy... Właśnie zrobiłam szkocki, modny. To siostra Kolumba mi dała ten model.

O godzinie dziewiątej małżonkowie zaproponawali aby pójść spać.

— Już? pytała Elka z żalem, aniśmy się nie nagadali...

— Kiedy widzisz sama: dzieciom oczy się kleją, a my w naszym stanie zdrowia naprawdę musimy uważać. Upadamy oboje ze znużenia.

Elka miała w tej chwili ten sam wyraz twarzy, co przed godziną jej chrześniaczka Zuzia, kiedy nie otrzymała na gwiazdkę solennie obiecanego „za grzeczność" serwisu dla lalki.

— Tak, szepnęła, odwracając głowę od lampy. Tak, powtórzyła wstając od stołu, no to ja was moi kochani chyba pożegnam.

— Nie, ty naprawdę chcesz już odjeżdżać? To nie poważne!

— Naprawdę kochani. Strasznie mi przykro, ale muszę do Tomka.

— Robisz nam wielką przykrość!

Elka wykonała beznadziejny gest ręką.

— No to czekaj. Do pociągu jeszcze dość czasu. Odprowadzimy cię na kolej.

— Przecież dzieci nie mogą zostać same.

— No to ja sama cię odprowadzę.

— Nie kochanie! Absolutnie nie mogę na to się zgodzić.. Twoje zdrowie jest ważniejsze.

Żegnając się z Elką Zdzisiek powiedział:

— Szkoda, że odjeżdżasz, ciociula. Dobrze choć, że nie zabierasz cukierków.

— Cicho Zdzisiu, cioci jest przykro, zmonitowała malca siostrzyczka zanim zdążyli to uczynić rodzice.

Leżąc w sypialni i wypalając ostatniego papierosa Kasia mówiła do męża:

— Bardzo mi przykro, że tak odjechała. Ale... może to lepiej. Kocham ją bardzo, ale jest tak niebywale denerwująca.

I dodała:

— Tylko... nie wiem, jak to określić, ale pozostaje po niej coś, jakby... smuga ciepła.

2. KRAWAT W JAPONKI

— Mógłbyś Tomku przewiązywać firanki w twoim pokoju czymś innym, niż krawatami. Kawalerskie porządki!

Leżący na tapczanie młody człowiek wypuścił z ust serię kształtnych dymowych kółek, które natychmiast zamieniły się w [illegible] ki.

ROZLICZNE

— To? Ach! To są prezenty od mojej siostry, z którymi potem nie wiem co robić! A tak — służą.

— Nigdy ci nie zrobię żadnego prezentu.

— Po tym, co mi dałaś — non plus ultra, odparł Tomek i dodał: prezenty powinny być w pierwszorzędnym gatunku, albo wcale.

Dziewczyna w żółtym sweterku poczęła się zbliżać krokiem wymierzonym i z odrzuconą w tył głową.

— A w jakim gatunku był mój prezent?

— Twój prezent? Był jak flakon cudownych, ale dawno otwartych perfum.

— Kretyn! Dziwnie zgłupiałeś ostatnio!

— Być może. Inteligencja nie jest naszą rodzinną cechą.

— To ty masz rodzinę? Sądziłam, że się zrodziłeś z dymu papierosów i wody sodowej.

— Mogłaś powiedzieć: lemoniady, to dowcip miałby jeszcze jakąś pointę. Mam niestety rodzinę. Mam siostrę, która była kobietą, zanim nie wyszła zamąż. Mam szwagra, który był mężczyzną, zanim się nie ożenił. Mam drugą siostrę, której nie przyjęto do Kobierzyna z braku ostrych objawów. Mam nareszcie babkę, która postanowiła nie umrzeć!

— Dlaczego tak źle mówisz o swojej rodzinie?

— Dlatego, że nie wypełnia swoich względem mnie obowiązków: pieniędzy nie umieją dla mnie zarobić a domagają się świadczeń w postaci listów, kochania i zjazdów rodzinnych.

Ale powiedziałem: basta! Nie ma forsy — nie ma świadczeń. Napisałem im, że jestem chory i przez całe święta nie ruszam się z domu.

Co prawda — kij ma dwa końce. Straciłem ich — zyskałem ciebie. A poza tym myślę, że niebo mnie ukarze i że zachoruję naprawdę. Jak ci o tym dobrze wiadomo, robię co mogę, żeby zachorować, ty najdroższa.

— Przestań się robić interesującym, to ci się wcale nie udaje. Chodź! Wyjdźmy trochę na powietrze. Nie można już oddychać od tego dymu.

— Niech będzie. Wszystko mi jedno.

Młodzieniec dźwignął się z tapczanu, podszedł do lustra żeby przygładzić swoje faliste, złote włosy i przyjrzeć się uważnie własnemu odbiciu. Uśmiechnął się zadowolony i poprawił krawat zdobny w damy ze skośnymi oczyma i z umbrelkami, jedne w kimonach a drugie bez nich.

Zapukano do drzwi.

— Idź otwórz, rozkazał Tomek i jeżeli to ta ropucha Pikulska, to mnie nie ma w domu.

— A co ja tu robię w takim razie?



— Może będziesz łaskawa zrobić, co ci mówię!

Dziewczyna w żółtym sweterku otworzyła drzwi, i zamknęła je prawie natychmiast.

— To nie Pikulska. To jakaś dziadówka.

— To niech sobie idzie do jasnej cholery.

Tomek z gołą głową, podniesionym kołnierzem i papierosem w ustach czekał już przy wyjściu naciągając nowe, żółte rękawiczki.

— No przestań się już tynkować chodź — sama chciałaś.

Ponowne pukanie do drzwi.

— Bezczelne się zrobiły ostatnio te dziady. Poczekaj! Dam ja jej odprawę. Klucze wzięłaś? Papierosy?

— Wzięłam. Chodźmy.

Konsternacja za drzwiami.

— Tomek!

— Elka!

— Tomek kochany!

Dziadówka i bikiniarz złączyli się w uścisku miłosnym. Dziewczyna w żółtym sweterku i beżowym płaszczu na żółtym sweterku obserwowała tę scenę mrugając długimi, zakręconymi na końcu rzęsami w najwyższym zdumieniu, jużto szczerym, jużto znakomicie zrobionym.

— Wracamy małpeczko. Panie pozwolą: to jest moja siostra, a to jest moja małpeczka.

A właściwie małpeczka może odpłynąć i zameldować się jutro o tej samej porze — punktualnie.

— Ależ, Tomku...!

— Roma locuta — causa finita.

Kiedy znaleźli się sami w pokoju Tomek pomagał rozbierać się siostrze, która pytała:

— Szedłeś z tą panią do doktora?

— Do doktora? Odkąd ty Elko mówisz takie brzydkie rzeczy?

— Jakie brzydkie? Jak jesteś chory...

Tomek rzucił się na tapczan, aż jęknęły wszystkie sprężyny a tuman kurzu wzbił się pod sufit.

— Chory! Prawda, że jestem chory! Zapomniałem na śmierć!

— Tomku! Nie powinieneś tak bagatelizować swojego zdrowia po Mauthausen.

— O Boże i wszyscy Pańscy święci! Czy nie widzisz, że jestem zdrów jak koń, zdrów jak rydz, zdrów jak tabetyk!

— Już wyzdrowiałeś? O — to się cieszę! Świetnie Tomku. To zaraz jedziemy do babci.

Tomkowi aż ręce opadły.

— Z tobą się w ogóle nie można dogadać po ludzku i trzeba ci wszystko tłumaczyć, jak niemowlęciu jakiemu. Więc słuchaj: jestem zdrów i nigdy chory nie byłem, nigdy — słyszysz! z wyjątkiem niemowlęcej żółtaczki. Ale nie mam nerwów i zdrowia i sił na te idiotyczne rodzinne zjazdy, na liryzm Kasi, na mazgajstwo Władka i na babcię w ogóle, która się ślini i ma zawsze biało w kątach oczu!

— Tomku! Jak możesz tak mówić! To grzech!

— Więc jeżeli to grzech, to mnie nie zmuszaj do grzechu, bo w takim razie sama grzeszysz. A teraz siadaj i zaraz dostaniesz herbaty i... chcesz jajecznicę? Nie mam nic innego, a restauracje dziś zamknięte.

— Poczekaj Tomku. Zaraz. Tak nie można. Musimy się rozmówić poważnie.

Rozmówili się poważnie i w wyniku tej rozmowy Elka się popłakała, a widząc, że nie wskóra niczego wiedziała już, co ma robić.

— No to trudno. Ale ci jeszcze raz mówię, że czynisz źle, bardzo, bardzo źle. Ale może ci Pan Bóg przebaczy, bo jesteś jeszcze wielkie dziecko. No, ale w końcu — jak chcesz. No to cóż. To ja ci zrobię wilię i ją zjemy razem, a w nocy pojadę do babci sama.

— Widzisz. Zaczynasz nareszcie mówić rozsądnie. Ale z tą wilią to nie wiem jak będzie, bo mam tylko bułki, herbatę i jajka.

— Nie można przecież dawać jajek na wilię!

— Wiem, że nie można. Ale jak nie ma nic innego...

— Nic się nie martw. Ja mam wszystko. Przywiozłam ci struclę, tylko się cała rozsypała, ale jest bardzo dobra. No, a do strucli zrobimy herbatę. To będzie taka nie prawdziwa wilia, ale zawsze trochę wilia. Pamiętasz — jak byliśmy mali?

— Pamiętam. Robiłem w majtki, których nie umiałem rozpinać. Kasi nie było wolno, a ciebie się nigdy nie można było dowołać.

— Po co takie niemądre żarty!

— To była smutna rzeczywistość.

— Tomku...

— No?

— A ta pani?

— Jaka znów pani?

— Ta co wyszła. Może jej było przykro? Może byś ją poszedł przeprosić i poprosił na naszą wilię?

— Małpeczka? Hmmm... Nnnie... Ona w żadnym wypadku nie pasuje do nas na trzecią.

— Ale może jej było przykro. Proszę cię, idź ją poproś! Wyglądała bardzo miło i tak jej poczciwie patrzało z oczu.

— A może miała uduchowiony wyraz twarzy?

— Wiesz... że miała. No sprowadź ją.

— Kiedy nie można, w żaden sposób nie można, póki ty tu jesteś.

— Ale dlaczego?

— Bo to jest... jakby ci powiedzieć, jak ty to tam nazywasz... osoba lekkich obyczajów.

— !!! TOMKU !!!

— Nnno?

— To jak ty się z nią możesz zadawać???

— Módl się za mnie kochanie.

— Ja się modlę. Ale ty już więcej nie będziesz?

— Nie będę.

— Ty będziesz dalej...

Wilia miała charakter wybitnie improwizowany. Siana ani opłatków nie było. Elka wyszperała jednak świecę, trzymaną od wypadku „jak elektrownia nawali" i postawiła ją na środku stołu.

— Życzę ci Tomku, żebyś zdał wszystkie swoje egzaminy i... żebyś był święty. Bo wszyscy są powołani. Chciałabym, żeby cała nasza rodzina to byli święci.

— Właśnie. Ty już dawno jesteś...

— O! Ty nawet nie wiesz, jakie ja mam grzechy!

— ...a babcia, Kasia i Władysław są na najlepszej drodze.

— Popatrz, jaki ci zrobiłam sweter, ale... nie wiem, czy się ucieszysz, bo Kasia powiedziała, że jest brzydki.

— Jabym raczej powiedział: osobliwy. Ale na wielkie mrozy, na deski...

— Żeby ci było ciepło. Noś go, zrobisz mi przyjemność. Robiłam go z myślą o tobie.

— Wspaniały prezent. Ale... przydałby się i inny. Nie masz trochę forsy?

— Nie mam Tomku! Wszystko wydałam na prezenty. Ty sobie nie myśl, że ja nie chcę. Jakbym miała, tobym ci na pewno dała, ty wiesz. O, nawet nie mam za co kupić jedzenia w drodze.

— To nie szkodzi, powinnaś się umartwiać na intencję mojego nawrócenia. Nic nie wyskrobiesz? Ani grosza?

— Mam jeszcze 50 zł., ale tych ci nie mogę dać.

— A co? Kupujesz buty biednym dzieciom? Ja też jestem biedne dziecko mówił Tomek, poprawiając swój jedwabny krawat z Japonkami, które robią fiki-miki.

— Nie Tomku. Dla babci...

— E, jakby babcia wiedziała, że ja potrzebuję, to by mi odstąpiła zaraz.

— Może...

— Na pewno. Zresztą wrócisz do domu i poślesz jej pocztą.

— Tak? No — słusznie. Przecież do pierwszego niedaleko. Racja. Babcia trochę jeszcze poczeka, a ty jesteś młody i musisz się odżywiać.

— Muszę, przyznał Tomek, zapalając nową W—Zetkę.

— No — to masz te 50 zł. To będzie prawdziwy prezent, z którego się więcej ucieszysz, niż z tego brzydkiego swetra.

— Nie mów tak! Sweter jest cudny! Nikt takiego nie będzie nosił w całym Krakowie i zdobędę pierwszą nagrodę na konkursie bikiniarzy. Ale flota się przyda istotnie, bo — o patrz! Mam 4 zł. przy duszy do końca miesiąca.

— Ty jesteś biedny! Uczysz się, uczysz... głodny bywasz?

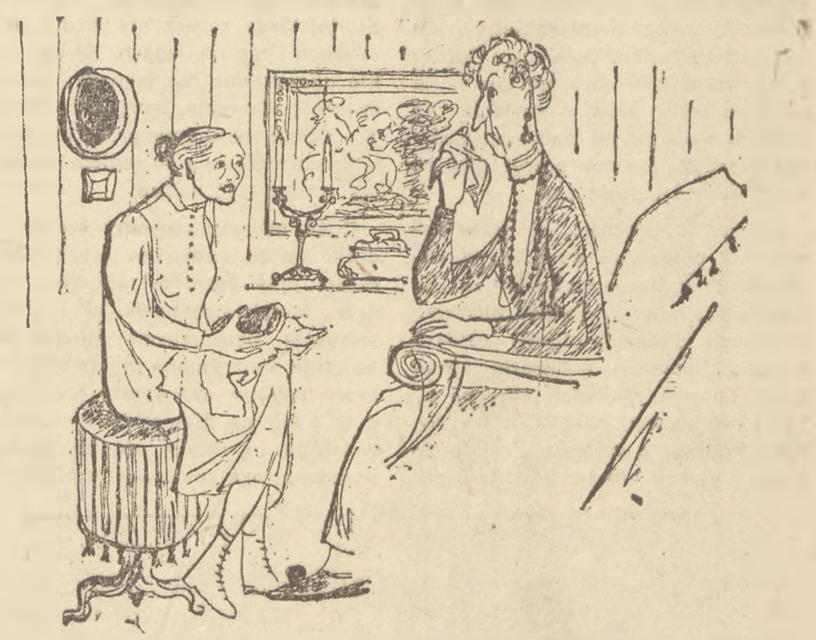
— Czasami. Lepiej się odżywiałem w Mauthausen. Przetrzymałem dzięki twoim paczkom.

— To oni. Ja ci nic nie mogłam posyłać. Ale się modliłam za ciebie, tak się strasznie, tak się gorąco modliłam! Może dlatego wróciłeś... Słuchaj Tomku, czy ty tam czułeś te moje myśli i że tak bardzo byłam przy tobie?

— Czy czułem... Ależ naturalnie! Czułem! Jak najbardziej czułem!

— Wiesz... ja ci tego jeszcze nigdy nie mówiłam, ale dziś, przy wilii to ci powiem: Ja wtedy... raz... ofiarowałam życie za ciebie...

— No strasznie jesteś rozczulająca, mówił zakłopotany Tomek.



— I... chciałabym, żeby to nie poszło na marne.

— ———

— Tomku, ja mam do ciebie wielką, wielką, prośbę.

— Żebym jutro poszedł do komunii.

— Jak to ładnie, żeś zgadł! Pójdziesz?

— ———

— Pójdziesz?

— Pójdę.

— Bardzo jesteś, bardzo kochany. I... jeszcze jedno...

— No?

— ...Wyrzuć ten krawat...

— Krawat? A! Chodzi ci o te Japonki frywolne. No, ale w czym ja będę chodzić?

— Ale nie masz już tego, który ci zrobiłam?

Tomek obejrzał się niepewnie w stronę okiennej firanki.

— No cóż, krawaty się starzeją.

— Kupię ci inny. Ale bez Japonek.

— Wiesz, może lepiej nie kupuj. Masz chęć, to mi przyślij forsę i sam sobie wybiorę. I w ogóle czepiasz się głupstw.

— Tomku, to nie są głupstwa. Dawniej byłeś lepszy, bardziej pobożny. Pamiętasz, jak byliśmy mali i chodziłam z tobą do kaplicy... Taki byłeś milutki! Raz popłakałeś się przed figurą Niepokalanego Poczęcia, że biedna Matka Boska, której ktoś zabrał Dzieciątko.

— Nie. Tego nie pamiętam.

Rozmawiali jeszcze długo. Ale pociąg Elki odchodził przed północą. Tomek stanowczo odmówił jazdy do babci, zgodził się tylko odprowadzić siostrę na dworzec. Wyszedł pierwszy z pokoju, żeby zapalić światło na schodach. Droga wypadła Elce koło okna. Sprzączka od plecaka zawadziła o firankę. Wydała lekki okrzyk.

— Co się stało?

— Nic, nic. Głupia jestem, przestraszyłam się pająka.

Tomek uścisnął siostrę przed wejściem do wagonu. Gdy pociąg już ruszał wcisnął jej do ręki jakiś papier.

— Co to jest? wołała Elka, nie mogąc rozróżnić w ciemności.

— Forsa! odkrzyknął Tomek. Oddaj babci!

Zwolna się kierował w stronę domu. Na palcie i włosach osiadły mu krople mgły.

Blisko już domu stanął nagle i spojrzał na zegarek, nowoczesny, szwajcarski zegarek. Fosforyzujące igiełki wskazywały północ. Długą chwilę się wahał, poczem skręcił w stronę Panny Marii.

Zatrzymał się przed progiem kościoła. Wzruszył ramionami. Zerwał z szyji krawat i rzucił pod nogi.

Japonkom zrobiło się smutno.

3. KOŁA TRZY

— Czy można, pani profesorowo?

— Ach, to pani jenerałowa! Jaki miły gość! Proszę, proszę dalej. Jaka pani kochana, że pamięta o starej kalece! Proszę siadać.

— Przyszłam pani złożyć życzenia. Tak się dawno do pani wybierałam, ale to raz to, to raz tamto. Moja złota, wszystkiego, wszystkiego dobrego. Dla pani i dla pani wnuczków.

— Dziękuję serdecznie i nawzajem składam najlepsze życzenia na ręce pani jenerałowej dla jej całej rodziny. Żeby Pan Bóg im oddał to wszystko dobre, co pani robi dla mnie.

— Moja droga pani, mówiła z zażenowaniem jenerałowa, pani zechce przyjąć taki mały upominek, taki drobiazg.

— Moja złota, ale po co to, po co... (rozwija) dlaczego pani mnie tak psuje, doprawdy nie wiem, jak mam dziękować, słów nie mam...

— Widzę, że pani oczekuje gości, przerwała jenerałowa.

— Tak, ożywiła się profesorowa, niech pani sobie wyimaginuje, jaka mnie dziś radość spotkała, w samo Boże Narodzenie. Jak pani wie, zawsze na święta zjeżdżały do mnie moje wnuki (z dumnym uśmiechem:) no i prawnuki, prababcią już jestem. No i w tym roku się pochorowali, taki pech, akurat na święta. Malcy dostali szkarlatyny, więc Kasia i jej mąż musieli naturalnie zostać w domu, a ta Elka, najpoczciwsza jak zawsze także tam pojechała, żeby im pomóc. No i w sam przedzień wigilii dostaję wiadomość, że i mój wnuczek, że Tomek dostał grypy. Wie pani, że się aż popłakałam, a ja nie jestem znów taka prędka do płaczu.

— Moje biedactwo!

— Ale nic. Łzy poszły na mój czysty rachunek, bo proszę pani zjawia się dzisiaj listonosz i przynosi telegram. Powiadam pani, ażem dostała bicia serca, czy to nie jakie nieszczęście, ale — wręcz przeciwnie: telegram, że Tomek przyjeżdża. Tak się strasznie ucieszyłam, że dałam listonoszowi całego złotego pourboiru.

— To szaleństwo.

— Czyste szaleństwo. Ale — niech mu będzie! Niech się przy święcie napije wódeczki za tę moją radość.

— Pani profesorowa najbardziej kocha Tomka ze wszystkich.

— A najbardziej! Już mi Pan Bóg musi odpuścić, że czynię podział w moich uczuciach, ale już nie umiem inaczej. Bo najpierw — ładny. Nie dlatego mówię, że mój wnuczek, ale obiektywnie. Widziała pani jego fotografie w mundurze?

— Chłopak — jak lalka: szeroki w barach, cienki w pasie...

— A kobieciarz! A bałamut! Powiadam pani — nic dobrego. (wraca sytematycznie do tematu:) Drugie — że biedny. 3 lata był w tym... oj, zawsze zapominam, taki obóz koncentracyjny...

— Może Dachau?

— Nie, inny... potem sobie przypomnę. Co on się tam nacierpiał!

— I przeżył...

— I przeżył. No — cóż, młody, silny, wysportowany. Wie pani, to mimo wszystko dobra rzecz, że ta młodzież uprawia te sporty.

— Pani, widzę zawsze tak samo czerwona.

— Staram się z żywymi naprzód iść... No więc wrócił, taki sam jak wyjechał, wesół, promienny. No i trzecie, że taki dobry, tak mnie kocha, takie pisuje rzewne listy. Cóż proszę pani, w naszym wieku człowiek już żyje tylko dla tych następnych pokoleń. Jeszcze rok się pożyje, może dwa, może pięć i... przyjdzie zdać rachuneczek... (Ze smutkiem:) i najgorsze, jak człowiek nic już dla innych nie może zdziałać i jeszcze jest im ciężarem.

— Najwięcej można zdziałać przez modlitwę.

— Tak, zbyt często o tym zapominam. Chciałabym jeszcze coś działać, a przecież powinnam pamiętać, że największą mądrością starca jest umieć się pogodzić ze swoją starością. Niewielu starych to potrafi: znać swoją miarę, znać swój kres (zamyśla się).

(Dokończenie na str. 15)

Stefan MARTHA

Kolory, walory, linie i tematy

RECENZENT WYRAŻA OBAWY

TRADYCYJNY wstęp do recenzji z wystawy, która obejmuje ponad sześćset eksponatów brzmi zwykle, że będzie to tylko napomknienie, zbiór refleksji, uwagi na marginesie a nie regularna recenzja. Ostatecznie każdy z wystawianych obrazów zasługuje na parę bodaj słów omówienia. Za każdym stoją czyjeś nadzieje, twórczy wysiłek, czasem nawet głębsza wizja świata i człowieka.

Cóż na to poradzić, że praca recenzenta polega na wyborze. W katalogu obok numerów dzieł znaczy się plusy i minusy. To jest pierwsza eliminacja. Potem z plusów wybiera się te najlepsze i podkreśla ołówkiem. Czasem zachodzi potrzeba użycia czerwonego ołówka, który dokona wyboru z wyboru. Zasiąść do pisania można wtedy, gdy ilość zakwalifikowanych do omówienia obrazów jest niewielka. Męczy mnie myśl, że zabieg ten jest nie tylko wynikiem pracy idei wartościującej, ale także wynika ze względów ubocznych a przemożnych. Takich naprzykład jak ułomność mowy (recenzent mówiący o wszystkim zbyt szybko wyczerpałby repertuar swoich określeń) albo już jawnie technicznych momentów jak ograniczoność miejsca, prawa kompozycji artykułu i jeszcze wiele innych. Warto by te czynniki uboczne zbadać, określić, poklasyfikować. Wtedy można by obliczyć „współczynnik uproszczenia".

Jakby nie dość było tego wszystkiego, jeszcze czyha na recenzenta pokusa polowania za typowością. Wyszukuje się jeden z obrazów i poddaje dokładniejszej analizie, aby wykazać pewne, powiedzmy, zaniedbanie kolorystyczne. Jednostkowe błędy jednego malarza uogólnia się. Z wypadku robi się zjawisko powszechne. Recenzja nabiera kolorów wielkiej apologii czy ataku. Konkret pozostaje daleko w tyle a recenzent wypisuje o niebezpieczeństwach i kryzysach.

Te wszystkie obawy wystarczą aby samemu sobie odradzić pisanie. A jeśli rzucamy się głową w przepaść to przynajmniej ze świadomością koniecznych krytycznych klęsk.

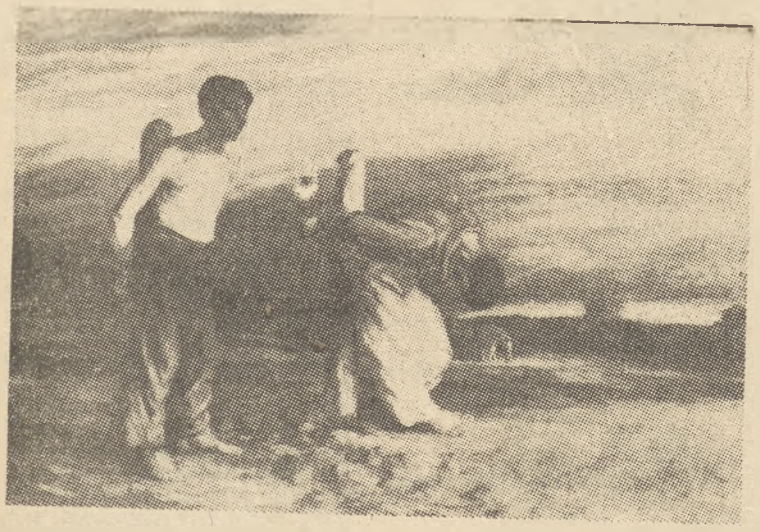
GOGOL ALBO PSYCHOLOGIZM

Zanim jeszcze staniemy przed tym prawdziwym „Gogolem" Juliusza Studnickiego zobaczymy go na paru afiszach i reprodukcjach. Na ogół takie uprzedzenie nie pomaga, zaciera świeżość wrażenia, banalizuje dzieło. To jednak, że stoimy przed obrazem i kiwamy głową z uznaniem, świadczy na korzyść autora.

Duży obraz malowany szeroko z dążeniem do monumentalnych płaszczyzn przy czym artysta zachował całą wrażliwość na kolor i walor szczegółu. Urozmaicone chłodne tło, świetnie wytrzymana plama serwety, żywy podbity czerwienią brąz surduta i śliczne niebieskie spodnie — wszystko to składa się na bardzo świadomą grę kolorystyczną. Intymność, specyficzność wnętrza (a nie jego schematyczną umowność jak to się najczęściej zdarza) podkreślają detale malowane z uwagą nie mniejszą niż twarz twórcy „Rewizora". Naiwne bratki, odblask „czegoś — tam" w lustrze, pies czuwający i niedbale rzucona rękawiczka zaludniają ten malowany pokój, budują nastrój, ale czy nie rozbijają trochę wrażenia skupionej zadumy bohatera obrazu? Czy Gogol jest naprawdę bohaterem tego płótna?

Przyznajmy się jednak, że mamy słabość do tego naprawdę dobrego dzieła i lepiej zademonstrujemy to o co nam chodzi — na przykładzie „Portretu Karola Szymanowskiego" Żuławskiego. Nad czarnym pudłem fortepianu przylepiona została głowa bez cienia wyrazu.

Nie chodzi nam oczywiście o natchnienie oblicza, nieprzytomne oczy i rozwiane włosy, ale malując wielkich ludzi, od których roi się na wystawie, nie zapominajmy o przykazaniach wielkiego Leonarda, który kazał malować dusze. Jak oddać ekspresyjną, myślącą twarz nie uciekając od środków współczesnej sztuki to już sprawa głębszej dyskusji jakże pasjonującej i jakże potrzebnej.



M. Majewski — Kożedo

„KRAJOBRAZ Z ŁAGOWA" ALBO POCHWAŁA KOLORU

Tutaj najjaskrawiej objawia się niedoskonałość mowy. Jeśli przed „Krajobrazem z Łagowa" Eibischa powiem zieleń i czerwień, będę miał takie uczucie jakbym grubymi palcami dotknął rzeczy kosztownej i kruchej. Bogata gama: zielenie, róże, fiolety, rudości — przypomina nie tylko dobrą tradycję kolorystów, ale uczy wrażliwości — tej malarskiej inteligencji, zdolności rozróżniania, umiejętności widzenia wiele. Czy jednak ten świetny, poparty wielką kulturą warsztat Eibischa wytrzymuje próbę wielkich kompozycji figuralnych. W obrazie „Spójniacy u Lenina" jesteśmy raczej skłonni do odpowiedzi pozytywnej. Obraz ma głębię, twarze są zindywidualizowane, z płótna emanuje nastrój powagi, prostoty i jasności. Ale „Aresztowanie Dzierżyńskiego" jest już jakby przekroczeniem własnych możliwości, sięgnięciem po temat bez poczucia konieczności przekształcenia warsztatu, uproszczenia, zmienienia, wyklarowania środków wyrazu.

Zanotujmy jeszcze kilka dobrych pejzaży. Kazimierz Tomorowicz dał trzy świetne, pełne światła i powietrza krajobrazy; dalej wymienimy poważne studia Mariana Maliny, Hanny Żuławskiej, Stanisława Borysowskiego, Władysława Lama i Łady Studnickiej.

Dobrze, że na tej wystawie nie pogardzono ani martwą naturą ani wodą, drzewami, niebem. Obok wielkich tematów historycznych i współczesnych musi płynąć ten nurt małych form, ważnych nie tylko jako studia, ale także jako utrzymanie niezbędnego dla realizmu kontaktu z naturą.

W POSZUKIWANIU MONUMENTALNOŚCI

Przy całym szacunku i zrozumieniu wielkiej roli jaką w malarstwie współczesnym odgrywa twórczość Eugeniusza Eibischa pozwoliliśmy sobie postawić znak zapytania nad jednym z tych obrazów historycznych. Teraz, powołując dwa przykłady malarstwa o ambicjach monumentalnych zastrzegamy zgóry, że mamy pełną świadomość znacznie niższej rangi artystycznej jaką one reprezentują.

„Kożedo" Majewskiego Mieczysława posiada rozmach i postawę wielkiej kompozycji. Ten iście Goya'owski nastrój egzekucji potęgują (sztuczne nieco) efekty światła, obniżony horyzont, patetyczne niebo, mocne wkomponowanie dwu pionów — postaci ludzkich — w nieludzko pusty, nizinny krajobraz. Szkoda, że obraz malowany jest jakby pośpiesznie i posiada całe partie (niebo!) zamaskowane tylko kolorem.

Za „Za prawo do pracy" Andrzeja Strumiłły należy się chyba jedna z pierwszych nagród. Nie dlatego aby obraz był wolny od błędów. Nie jest także dojrzały. Przykuwa jednak uwagę, ale czym? Myślę, że głównie walorami kompozycji. Wydaje się, że układ postaci w tym obrazie daleki jest od naturalności, świadomie sztuczny i umowny. Demonstranci stoją sztywno jak na rodzinnej fotografii z przed pół wieku. I rzecz zastanawiająca: ekspresja tego tłumu nie polega na gwałtownych gestach i wymownej mimice, ale właśnie przeciwnie na absolutnym znieruchomieniu, okamienieniu nad zwłokami niewinnej ofiary. Banalna architektura miasta podkreśla nastrój autentyzmu i grozy.

TRZY SŁOWA O TRZECH OBRAZACH

Każdy recenzent posiada na wystawie „swoje" obrazy, które chciałby powiesić lepiej niż wiszą, polecić uwadze zwiedzających, ale które ze względów ogólnej koncepcji recenzji wymykają się zakwalifikowaniu do omawianych typowych grup czy zauważonych kierunków. Aby jednak to co pisze było autentyczne tj. zgodne z jego przekonaniami, wymienimy owe trzy bliskie naszemu sercu obrazy już bez komentarza zachwalającego. Są to: Henryka Poulain „Studium realizmu", Kazimierza Śramkiewicza „Martwa natura" i Stanisława Wójcika „W Przychodni Przeciwalkoholowej".

TROCHĘ GROMÓW

Najłagodniejsze gromy padną tam, gdzie pośpieszna szkicowość uniemożliwiła powstanie bardzo ciekawie zapowiadających się dzieł. Mamy tu na myśli śmiałe szkice olejne Wnukowej, Pągowskiej i Massalskiej. Także obraz Teisseyre'a nosi ślady niedopracowania i pośpiechu. Ale wiemy, że artyści ci, ze względu na swoje poprzednie osiągnięcia zasługują na poważny kredyt moralny.

Gorzej, gdy spotykamy notorycznie złe płótna takie jak oleodrukowe krajobrazy Konstantego Mackiewicza, uparcie brudne i chaotyczne prace Klaklika, Klimczaka, Chlebowskiego, naturalistyczne elaboraty Wollenberga i Zakrzewskiego. Nie udała się tym razem architektura. Płytkie pocztówkowe obrazki Arcta w niczym nie oddają śmiałych osiągnięć współczesnego budownictwa. Także... ale dajmy spokój. Miało być przecież *trochę* gromów.

SŁÓWKO O GRAFICE I RZEŹBIE

Na II Ogólnopolskiej wystawie mieliśmy w dziale rzeźby aż trzy dzieła ocierające się o wielkość i dość dużo przeciętnych i słabych. Obecna wystawa przynosi dość wysoki i na ogół wyrównany poziom ogólny. Na czoło wybijają swym akcentem ludzkim prace Dunikowskiego, Horno-Popławskiego („Matka Belojannisa") i Smolany (Pak-Den-ai). Dobre studia głów dali Wiśniewski, Proszowski, Duszeńko, Dzielińska.

Grafika daje przegląd wszystkich technik, sposobów i zainteresowań od malarskiego rysunku do książkowej ilustracji. Notujemy wybitniejsze nazwiska Chrostowska-Piotrowicz, Fiszerówna, Gawdzik, Gleb, Hiszpańska, Grunwald, Marschall, Marczyński, Panek, Peczenko, Waśkowski, Wolewicz...

Z przerażeniem stwierdzam, że zaczynam przemawiać imionami własnymi. Jest to punkt krytyczny recenzji. Najwyższy czas skończyć. Za chwilę zamienimy się w katalog.

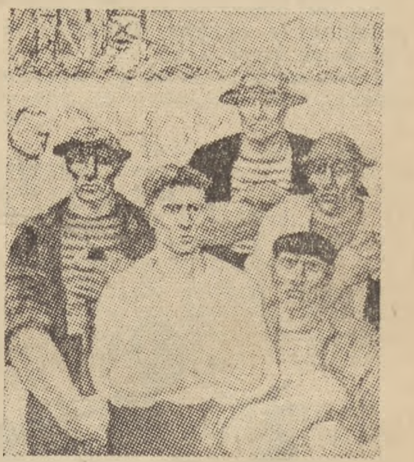
Stefan Morthà



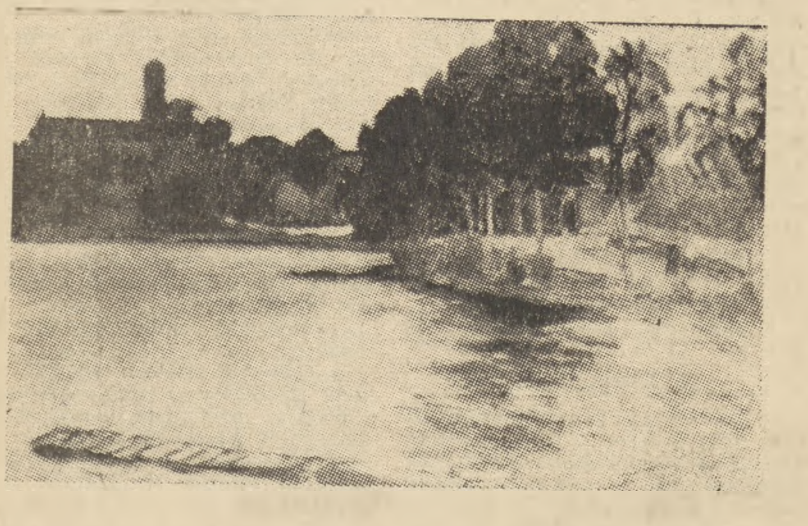
S. Horno-Popławski — Matka Belojannisa



A Strumiłło — Za prawo do pracy



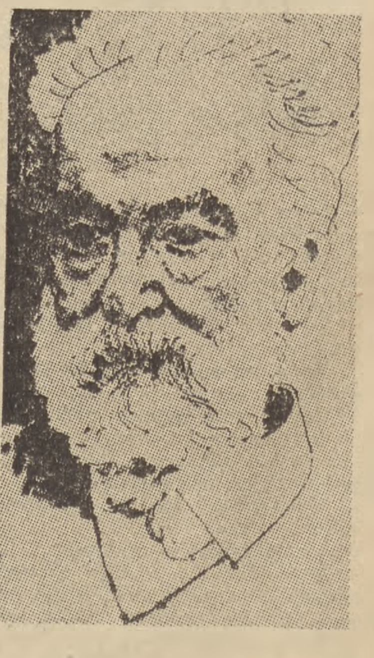
S. Dawski — Go home



K. Tomorowicz — Jezioro w Chmielnie



S. Borysowski — Wisła pod Toruniem



T. Gleb — V. Hugo

Elki wigilie rozliczne

Właśnie taki sobie przepisałam jeden wiersz, z tych dzisiejszych, bo ja te wiersze czytuję, żeby być au courant, okropne są, ale czasem, czasem się trafi coś ładnego. Niech pani posłucha (Czyta:)

W późnej radości za serca tętent
nie bierz pogłosu kopyt od rżysk.
Trzy pory życia jak koła trzy
parowozowi czasu odjęto.
Jesień je spełni...

— To nawet całkiem milutkie...

— Nie, kochana jenerałowo. „Milutkie" — ce n'est pas le mot. Niech pani słucha dalej:

Przed tym widokiem nic nie ocala
Konieczny, prawie jak śmiech lub zgon.
Płomień jarzębin gaśnie bez żalu
i kolorowo umiera klon.

W porze odlotów ludziom przydrożnym
płowieją oczy, właśnie jak kwiaty.
Żurawie lecą — a nam się korzyć,
jesienny przyjąć wiatyk...

— Bardzo mi się ten wierszyk podoba, taki malowniczy!

Profesorowa zrobiła niecierpliwy ruch dłonią i czytała dalej:

Buk jak semafor czerwienią krzyknie.
Jedwabna kądziel dłonie omota
Tam, gdzie las ziemię ściąga chomątem
zagrzęzną stopy w rudej malignie.

— Muszę to sobie koniecznie odpisać. Jaki ten wierszyk rytmiczny! Ile tam kolorów: te buki, te jarzębiny, przecież to się widzi!

— Ach moja droga jenerałowo, czy pani nic tam więcej nie usłyszała! Pani wcale nie rozumie tej nowej poezji!

— Dlaczego się pani denerwuje? Przecież mówię, że mi się bardzo podoba. Kto to napisał?

— A jeden z tych nowych poetów, nazywa się... (przesuwa ręką po czole) ach, wypadło mi z głowy, nic już nie pamiętam, robię się do niczego!

Tylko... to się tak pisze, jak się jest młodym: niech cię nie trwoży przybór szelestu. Ale jak się zestarzeje, to go będzie trwożyć... Ja bardzo jestem przywiązana do życia!

— A ja nie...

— Bardzo jestem przywiązana, powtarzała profesorowa, jakby nie słysząc tamtej. I mam prawo, jestem jeszcze potrzebna na tym świecie. Moje wnuki takie są niezaradne, coby oni robili, gdybym umarła? Bardzo, bardzo się tym trapię, co oni poczną, kiedy ja zamknę oczy. Tomek może sobie da radę ale tamci! A już najgorzej Elka: zamąż iść nie chce, zawodu żadnego nie ma, taka panna przy klasztorze, wszyscy ją okpiwają, taka bezbrzeżnie naiwna...

I taka zacofana proszę pani! Czy pani da wiarę, że ona nie czyta gazet!

— Dam wiarę z łatwością, bo i ja nie czytuję.

— No, ale pani słucha radia.

— Tylko koncertów z Paryża.

— Co pani mówi! No, ale pani — to co innego. Ale ta Elka... Mój Boże! ludzie ją naciągają, jak nie wiedzieć co. Com ja się ją nabeształa, żeby tak nie rozdawała wszystkiego co ma. To - nie! Przyjdzie pierwsza z brzegu żebraczka, to Elka jej da ostatnią koszulę. A żebraczka śmieje się za drzwiami, że będzie miała na ścierki. Tak było, proszę pani! A ja znowu nie lubię, żeby żebraczka chodziła lepiej ubrana ode mnie.

Dokończenie ze str. 1

— Pani taka czerwona i tak mówi...

— Ja jestem proszę pani bardzo lewicowych poglądów, owszem, dać każdemu co się należy, nawet żebrakowi, nawet słudze, ale przecież musi być w końcu jakaś organizacja społeczna!

Długo tak obie babcie reformowały świat. W końcu jenerałowa zaczęła się żegnać, obiecując przyjaciółce, że jej przyśle nazajutrz zająca.— To dla pani wnuczka, żeby pani mogła mu dać coś dobrego.

— Dziękuję, moja złota, ale po co to, po co. Taka pani kochana, najzacniejsza...

I wie pani co? Już sobie przypomniałam, jak się ten poeta nazywa: Rozwadowski, to łatwo zapamiętać, jak ten generał z wojny światowej.

Zostawszy samą, profesorowa podjęła manewry po pokoju na swoim fotelu na kółkach. Wszystko było właściwie gotowe już oddawna, a przecież czujne oko staruszki wciąż jeszcze dostrzegało szczegół, wymagający korekty. Podwieczorek stał przygotowany na starowiedeńskim serwisie, rozwijanym z papierów od wielkiego dzwonu. Nie było jednak widelczyków do ciasta. Jakże tak można! Zapomniała również opalić nowe świece, stojące w ciężkich, srebrnych kandelabrach po obu stronach talerza z opłatkami. I masło należało przełożyć ze zwykłego, powszedniego spodka od odświętnej maselniczki. To wszystko były rzeczy ważne, bo Tomek tak dba o estetykę — i ma rację, kochany chłopak! Nie wolno zrażać młodych ohydą starości. Profesorowa postanawiała zawsze być ładną staruszką, fryzować rurkami loczki, zapinać pod szyją koronkowy żabocik, a potem, w codziennej pogoni za umykającą chwilą na nic nie stawało jej czasu, i sił. Palce zdeformowane artretyzmem z trudnością ujmowały igłę, ścierkę, albo nożyczki. Ale potem takie przeoczenia codzienności mszczą się dotkliwie, gdy zachowanie minimum urody staje się równoznaczne z zachowaniem uczucia najdroższych. Albowiem babcia nie miała najmniejszych iluzji: wiedziała, że starość jest odrażająca, że trzeba ją ukrywać starannie za maseczką kokieterii:

Dzwonek. To on, to wnuczek!

Niestety, po prostu stróżka z zapytaniem, czy trzeba na jutro mleka. Też sobie wymyśliła trudność! Oczywiście, że trzeba. Morgen ist auch ein Tag. Ale stróżka zawsze musi się pytać o najprostsze rzeczy, zdziecinniała staruszka!

Kiedy pod wieczór zjawiła się Elka, profesorowa tak była znużona czekaniem, że nie miała już siły na radość.

— Czekam na Tomka. Od rana czekam. Musiał się spóźnić pociąg.

— Przecież Tomek nie przyjedzie, babuniu.

— Ach, bo ty nic jeszcze nie wiesz! Właśnie telegrafował, że przyjedzie.

Sporo czasu zajęło Elce wyjaśnienie qui pro quo. Jej telegram nadany był z Krakowa, tzn. z miejsca pobytu Tomka. I zredagowany: „Przyjeżdżam, niedziela szesnasta". I bez podpisu, — dla oszczędności.

Babcia zapałała gniewem.

— A bo kto tak głupio redaguje telegramy! To już wszystko jedno: słowo mniej, czy słowo więcej!

— Bo ja myślałam babciu...

— Ty zawsze musisz coś myśleć. Nie myśl tyle — będzie lepiej. Na jednym słowie oszczędza! Des économies de bouts de chandelles. A czy ty wiesz, że ja dziś dałam listonoszowi złotówkę, słyszysz: CAŁĄ ZŁOTÓWKĘ! z radości, że Tomek przyjeżdża.

— Ale babciu...

— No —co?

— ... Nic.

— No powiedz-że!

— Nic, nic.

— Nie zaczyna się, a potem nie kończy. To złe wychowanie. Nie pozwolę na takie traktowanie mojej osoby!

— Ależ babciu... ja chciałam tylko powiedzieć, że ja też jestem babci wnuczką...

— To mi dopiero Amerykę odkryła! Pewnie, że jesteś moją wnuczką! Dlaczego byś nie miała być moją wnuczką! Amerykę odkryła!

Ostatnia z trzech wigilii Elki była chyba najsmutniejsza ze wszystkich. Babcia skrytykowała strucle i surowo zmonitowała wnuczkę za zaniedbanie w jej stroju.

— Jak można tak wyglądać dziewczyno! Przypatrz się sobie, no przypatrz do lustra. A — tak! Nie odwracaj głowy! Zupełna donna klabastia! A— tak! Była tu dziś u mnie pani jenerałowa, trzeba było widzieć jak ślicznie wyglądała, choć ma 75 lat! Taką miała ładną bluzeczkę z tego nowego materiału, co teraz noszą, z tego nylona. A ty co? Pewnie nie wiesz, że coś jest takiego na świecie. Niczym się nie interesujesz. E!

Potem było jeszcze długo o Tomku. Że właściwie chory, albo nie chory! Elka się wykręcała od odpowiedzi jak piskorz. Ale babcia była lepsza w tych sprawach od Intelligence Service. Mówże, moje dziecko jasno. Przecież nie można być jednocześnie i chorym i zdrowym. Naucz się raz w końcu logicznie myśleć, bierz przykład z twojej babki, która ma 79 lat. No więc dowiem się, czy się nie dowiem, jak było naprawdę. Że nie chciał przyjechać? NIE CHCIAŁ?— Ależ to wykluczone! On mnie tak kocha, nie słowami tylko jak ktoś, kogo znam, ale nie wymienię. Czynem mnie kocha. Jeżeli nie przyjechał, a zdrów, to musiała zaistnieć ważna przeszkoda.

A może kobieta? No co tak wybałuszasz oczy, jakbyś mnie chciała zjeść! Ty się niczego nie domyślisz sama! Mój Boże! Kiedy ja byłam w twoim wieku! No więc: Nie kręciła się tam koło niego jakaś ładna dziewczyna?

— ...Tak babciu... trochę... była.

— Co znaczy: „trochę"! Była, czy nie była?

— Była.

— Ładna?

— Zdaje mi się, że bardzo ładna.

— No, to przecież teraz zupełnie jasne! Został dla jakiejś fincygierli, a mnie wysłał kłamliwy list. Pewnie! Babcia stara, babcia kaleka, babcia na nic nikomu niepotrzebna, babcia może sobie umierać! Pewnie! Chore koty — za płot!

— Babciu, prosiła ze łzami w oczach Elka, niech babunia tak nie mówi! To mnie boli, bardzo, bardzo. My babcię kochamy, babcia jest nam potrzebna!

— Tobie może potrzebna, boś niezdara, ale Tomkowi niepotrzebna!

— Właśnie Tomkowi, babuniu! On się zmieni. On taki dobry! On był w Mauthausen! Czy babcia wie, że on mi obiecał już więcej nie chodzić do tej... pani.

— A dlaczego niby nie ma chodzić! Do czego ty się wtrącasz! Jakim prawem! Taki śliczny młody chłopak musi mieć metresę!

— Babciu!!! Nie można tak mówić! To grzech śmiertelny!

— Co ty MNIE będziesz uczyć smarkulo? Już ja wiem lepiej od ciebie, co jest grzech, a co nie. Więc przyjmij do wiadomości, że młodzi chłopcy są od tego, żeby dziewczęta bałamucić, a dziewczęta są od tego, żeby się nie dać zbałamucić. Tak było od początku świata i tak będzie do końca, czy to się tobie podoba, czy nie! A że ty jesteś stara panna, że o ciebie nikt się nie stara, to jużbyś chciała miłość wyrugować ze świata.

Przez cały wieczór i cały następny dzień musiała Elka wysłuchiwać fukań takich i w tym rodzaju. Babcia była naburmuszona, jak nigdy i powtarzała w kółko do siebie niezrozumiałe wyrazy.

— Trzy koła odjęto. Trzy koła. Il est temps. Rachuneczek. Trzy koła...

Przy pożegnaniu dopiero rozchmurzyła swoje brwi Junony.

— Dziękuję ci bardzo, żeś przyjechała. Ty jesteś dobre dziecko. Babcia ci będzie za to z tamtej strony błogosławić. Dałaś mi w życiu moją ostatnią radość, wielką radość...

— Jaką radość? medytowała Elka w drodze powrotnej. Jaką radość? Beształa mnie przez cały czas ile się zmieściło.

Ale Władysław, spec od psychologii na użytek rodzinny, któremu w jakiś czas potem zwierzyła się ze swych wątpliwości, znalazł rozwiązanie, nie wiedzieć, czy słuszne:

— Nie szkodzi, że beształa. To było właśnie ową radością, powiedział z półuśmiechem.

Wspólnota życia w Chrystusie

(Dokończenie ze str. 5)

... A jednakże nasz Kościół uważa, że kiedyś panował, ponieważ niegdyś grał rolę Kościoła państwowego. Czas jego oficjalnego uznania w świecie wydaje mu się jeszcze czasem triumfu...

... Już najwyższy czas — pisze dalej na ten temat Gilson — *porzucić to złudzenie. Praktycznie rzecz biorąc, nie ma takiego ustroju społecznego ani politycznego, któryby zapewniał duszom otrzymanie od świata posłannictwa Chrystusa. Chrystianizm jest w gruncie rzeczy osobistym stosunkiem człowieka do Boga i może się ułożyć w Kościele i przez Kościół tylko pod warunkiem, że Bóg sam będzie Kościołem. To jest możliwe, ale niemożliwością jest, żeby Bóg był państwem. Każdy kościół państwowy opiera się o państwo tzn. stara się zdobyć ludzi dla Boga swoimi sposobami, które są świeckie, a nie Boskie. Poprzez długą historię chrystianizmu nie ma ani jednego oparcia świeckiego, które by nie było dla niego w końcu słabością...*"

„*Życzmy sobie* — kończy tę myśl Etienne Gilson — *żeby chrystianizm zadowolił się odtąd żyć na stopie pokojowej z Cesarzem, co jest już dużo, nie licząc na to, żeby ten ostatni prowadził ludzi do Boga, co byłoby tylko jeszcze jednym sposobem nie oddawania tego co Boskie Bogu*".

W przytoczonej tu wypowiedzi Gilsona znajdujemy niezmiernie trafną ocenę tego, jak wielkim niebezpieczeństwem jest dla Kościoła zniekształcanie jego istotnej roli wyznaczonej mu przez Chrystusa i sprowadzanie Kościoła do poziomu organizacji doczesnej. Świadomość wielu katolików w gruncie rzeczy skażona jest takim błędem w pojmowaniu charakteru i roli Kościoła. Przede wszystkim zaś, wbrew wszelkim osłonkom, na Zachodzie podejmowany jest dziś przez polityków świata kapitalistycznego olbrzymi wysiłek czynienia z Kościoła swego sprzymierzeńca w walce politycznej, co w praktyce oznacza podporządkowywanie jego misji interesowi doczesnemu zagrożonej przemianami społecznymi burżuazji. Zjawisko to niezmiernie podnosi i aktualizuje wagę starań o rozumienie przez katolików istoty wiary, charakteru i roli Kościoła. Towarzyszące niezmiennie Kościołowi pielgrzymującemu zmaganie zawartego w nim ułomnego pierwiastka ludzkiego, z nadprzyrodzonym, przybiera w tym punkcie postać walki o zachowanie Boskiego, transcendentnego wobec historii i uniwersalnego charakteru Kościoła, walki o to, aby nie przyjął on na siebie innej roli w dziejach niż ta, którą mu wyznaczył jego Założyciel. Aby uświęcał ludzi i także w swej nieodzownej widzialnej strukturze nie był niczym innym, niż wspólnotą życia w Chrystusie.

Tadeusz Mazowiecki

A to KTO?

Szanowny Panie Redaktorze!

chociaż nie drukujecie moich listów i artykułów, co tylko Waszemu — od tej pory mniej poczytnemu — pismu może zaszkodzić, zwracam się do Was w sprawie, która wymaga głębszego ujęcia. Wierzę, że właściwie ustosunkujecie się do tej wypowiedzi.

Chodzi mi o problem cywilizacji. Czytając różne Wasze publikacje zacząłem się z niepokojem domyślać, że rozwój cywilizacji skłonni jesteście traktować jako pozytywny przejaw w historii ludzkości. Czyżby? Zastanówcie się przez chwilę. Absurd. Cywilizacja jest odwrotem od pogaństwa, a przecież pogaństwo to najpiękniejszy przejaw chrystianizmu in potentia. Cywilizacja bowiem to proces zepsucia moralnego in actu. Jak można tego nie rozumieć? Najpospolitsze fakty tego dowodzą. Np. koleje Dawniej człowiek musiał nawet największe przestrzenie przemierzać pieszo lub konno. Zżywał się z przestrzenną wielkością świata. Dzisiaj jedzie kolejką. Pomniejsza w ten sposób świat, kurczy jego wielkość do trzech przystanków. Degraduje przyrodę, ubliża jej siłom sprawczym. Zastanówcie się nad tym. Z okazji nadchodzących świąt przemyślcie to zagadnienie. Czas zerwać ze strupieszałymi konwencjami myślenia. Szacunek do filozofii nakazuje przecież nieuznawanie jej racji, niezgoda stanowi najpełniejszy przejaw harmonii. Piszę o tym dokładniej w swojej książce pt. „Artykuły odrzucone". Nie znalazłem jeszcze wydawcy. Może — Wy?

Kreślę się bez poważania

???

Do redakcji „Dziś i Jutro" w okresie przedświątecznym wpłynęło wiele listów, fragmentów prozy i wierszy. W większości wypadków były pisane bardzo niewyraźnie. Maszynistki znajdowały się w normalnym stanie, tzn. w stanie urwania głowy. Teksty przepisały mniej więcej dokładnie, ale... pogubiły nazwiska. Były to tzw. głośne nazwiska. Nie chcemy rezygnować z drukowania nadesłanych listów, fragmentów prozy i wierszy. Zbieramy je więc na jednej kolumnie, wierząc, że kultura literacka, oczytanie i głęboka znajomość piśmiennictwa współczesnego pozwoli naszym P. T. Czytelnikom na odcyfrowanie nazwisk zagubionych. Dla tych, którzy bezbłędnie je odcyfrują przewidziane są nagrody, jak: uroczy uśmiech wdzięcznej maszynistki, przyjazny uścisk dłoni któregoś z redaktorów lub nawet, dla szczególnie wyróżnionych—wysokie honorarium w postaci listu gratulacyjnego.

Życzymy pomyślnych i miłych wyników z tej pouczającej lektury

Licho

Kolego Niewspółredaktorze,

zwykle drukuję swoje wiersze w „Szpilkach", ale tam już nie umiej k(ł)uć żelaza póki gorące, więc zwracam się do Was z aktualną w okresie świątecznym „Fraszką o alkoholu". Nie pomylcie mojego nazwiska z Mickiewiczem Tamten też pisał dobre wiersze, ale smutniejsze.

FRASZKA O ALKOHOLIKU

Pan X lubił wódkę bar-
dzo
Wiec wciąż palił straszny ıar
go
A gdy pił wciąż coraz wię-
cej
Coraz mniej miał pienię-
dzy.
I martwił się tak strasz-
nie
Że poświęcam mu tę frasz-
kie,
By przyjaciół wszystkich o-
strzec
Iż wyniki są najpro-
strze
Kto się z wódą wda w zabaw-
ke
Jak ten wiersz mieć będzie czkaw-
kę

Panie Er —

ponieważ w Pańskiem poczytnem tak zwanem organie ukazał się swojego czasu artykuł, w którem pewien facet moje osobe poniekąd jentrepelował, zmuszony jezdem na to konto parę słów z okazji opłatka zaznaczyć. Życze temu młodziakowi, żeby warszawskich rodaków nie zaczepiał. To, że i on miał zaszczyt przez parę lat na mojem rodzonem Targówku zamieszkiwać — to mucha. Każden się mógł wkitować przez tak zwane zagienszczenie czyli domiar kwateronku. W fachu dziennikarskiem jezdem oblatany, z niejednem redaktorem dwie czyste „Kryniczanki" pod waniliowe lody w lecie sie wypiło, to wiem, że gość musiał swoje norme wyrobić, ale nie życzem sobie, żeby osobistości poniekąd już pod ogólne kulture narodowe podciągnięte dla swojej wierszówki miał — że sie tak, za przeproszeniem, wyrażę — w charakterze bohatera negatywnego wykorzystywać.

Szaconeczek dla Pana

???

Panie Redaktorze,

oceniając Pańską odwagę i zrozumienie dla dobrej literatury śpieszę donieść, że przygotowuję do druku nowe opowiadanie Tym razem — opowiadanie współczesne Zagadnieniem naczelnym jest, że tak powiem — kwiatowość natury kobiecej. Mam wrażenie, że będziecie zadowoleni. Pan rozumie: erotyka roślinna, człowiek łodygami wrasta w ziemię, metafizyczny pęd ku owocowaniu, ekstatyczna eksplozja pęków, wizja nenufara-kochanka, konflikt między Heleną nenufarem i kanarkiem To wszystko ukryte w warstwie stylistycznej utworu. Przykładowa próbka (ze str. 84):

„Kwitła boleśnie. Trącały ją palce wiatrów. Dreszcz. Płacz mięśni. Szorstka łodyga nenufaru łapczywym pocałunkiem wgryza się w palce. Helena odczuwa w stosie pacierzowym dygot planety i kosmosu, włosami wplątana jest w rozmowę gwiazd. Szum krwi łączył się z szumem Oceanu Spokojnego. Postanowiła opuścić więc Ogród Botaniczny i przemierzyć Aleje Ujazdowskie tęsknotą swych kroków. Kaleczyła radość ulicy rozkrzyczanym namiętną ciszą bólem".

Proszę mi, Panie Redaktorze, przesłać odpowiedź czy reflektuje Pan na to opowiadanie. Starałbym się zdążyć do numeru świątecznego. Jeżeli by Panu to nie odpowiadało, mógłbym przerobić na coś w rodzaju sensacyjnej opowieści. Pan rozumie: konflikt Heleny i Ignacego Nenufara byłby grą szpiegów. Ale wtedy musiałbym to przełożyć do numeru noworocznego.

Czekam odpowiedzi

???

Wiersz, który nie był przysłany listownie lecz przekazany redakcji przez jednego z jej członków.

O SOBIE — SZORSTKO

Mową nie wprost, złamaną wpół milczeniem
Jakże whaftować myśl niedozłoconym ściegiem?
Nie ujmiesz dziś powtórnym oddaleniom,
Mnie, ani nas, wpatrzonych w rzecz odległą.

Zapisom dni, wplątanych w serca stukot
Nie oddasz słów, schwyconych czujną ręką.
Pozostań tu i pozwól chromym nutom
Pokryć się w szron, stal chrupką i zalękłą.

Nie tamten już a wszakże jeszcze nie ten,
Powtórzę im jak cierpki smak ostrężyn
Dzisiejszy czas.

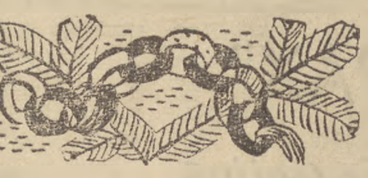
Ty — odejdź. Na poetę
Za mało jest, by grać. Pożegnaj dawny księżyc.

Przesłanie

Przeto jak stal niełamka, nie ze szronu,
Zastygnie żal, z słowników już wytarty.
Pożegnaj dom. Nie wrócisz już do domu
...A była noc, choinka, gwiazdy marły...

Moi milusińscy mordercy kultury!

Piszę do Was ten świąteczny list-felieton, bo już nie mam o czym pisać. Pisałem o śmierci i życiu, o jesieni i muzyce, o swojej łysinie i jeździe na rowerze, pisałem już wielokrotnie i o Was, ale tym razem autokrytycznie chcę słów smętnych skreślić kilkoro.



Najważniejsza jest wielobarwność. Minimalistyczny postulat koloru spełnia jako tako tęcza. Rzucam wezwanie tęczowości. Bądźmy tęczowi. Pamiętacie Huxleya „Nowy wspaniały świat"? Przeciwstawiajmy ludziom wybutelkowanym ludzi roztęczonych. Jednolitość jest śmiercią, różnorakość jest życiem. Trzeba się kłócić, spierać, dyskutować. Nie przeceniajmy problemu: o co? To mniej ważne. Ważniejsze by były problemy. Nawet sam problem bezproblemowości można arcyproblemicznie sproblemizować. Trzeba tylko sceptycznego optymizmu, trzeba — jak powiada kochany Wiech — trochę ikry. Walczę o tę ikrę od lat. Mógłbym otrzymać tytuł ikromana. I oto zauważyłem, że w swej walce o wielorakość, o różnolitość, o tęczowość — jestem monotonny, zawsze ten sam, ciągle o jednakowym składzie chemicznym. Tempora mutantur, sed ego non muto. Non muto, ergo sum. Oto moja łacina. Nie klasyczna, lecz kuchenna. Ale najciekawiej wygląda człowiek — od strony kuchni. Mam temat. Kuchenność świata. Tygiel historii. Przekrój kulinarny ludzkości. Jakie to ciekawe. Jakie-ż to smutne moi kochani wrogowie.

Pozostaję nie-Wasz

? ? ?

Szanowna Redakcjo!

Jako stały czytelnik, a nawet sympatyk chciałbym wreszcie wiedzieć. Bo my z żoną czytamy Wasz organ i czasem sobie włosy wyrywamy Ale od początku to było tak:

Kuzyn mojej żony był u Was w Warszawie celem przekazania Redakcji mojej spuścizny („O szkodnikach naszych pól i lasów" poemat dydaktyczno-agronomiczny trzyna stozgłoskowcem parzyście rymowanym). Naprzód wszedł do sklepu gdzie sprzedają kadzidło i gromnice, potem do innego sklepu, a kiedy powiedział, że szuka drogi dano mu książkę jakiejś autorki co się nazywa podobnie jak pieśni nabożne. Zabłądził jeszcze do PAX-u i do „Słowa Ogrodniczo-Powszechnego" aż wreszcie trafił do drzwi z napisem „Dziś i Jutro". Wszedł i powiedział, że chce mówić z redaktorem literackim. Panie, które tam były narobiły wielkiego krzyku, zabrały maszyny do pi-

LIST NIE ZABŁĄKANY

sania i uciekły. Potem wpadł do pokoju jakiś pan i zapytał kuzyna czy nie wie gdzie jest Mazowiecki. Jeszcze bardziej potem wbiegało i wybiegało kilkanaście osób, a jedna powiedziała, że to jest skandal. Wreszcie przyszedł redaktor, chyba prawdziwy, bo nieogolony i powiedział, że on nie jest literacki tylko ideologiczny. Ale zanim kuzyn powiedział parę ciepłych słów „O szkodnikach naszych pól i lasów" wybiegł, bo miał coś uzgodnić. Potem znów zaczęły trzaskać drzwi i jakiś pan w ewikerach pytał kuzyna gdzie jest Mazowiecki. Telefon dzwonił. Kuzyn jako bywały podniósł słuchawkę. Pewna Zosia powiedziała mu, że dzisiaj nie może. Kuzyn obiecał, że poczeka. Potem przyszła pani w fioletowym szalu i zawołała: Dlaczego pan nie dał mi rozwinąć skrzydeł? Kuzyn powiedział, że on nie jest Mazowiecki, a że już było późno położył mój poemat na biurku, napisał czerwonym ołówkiem „Pilnie poufałe" i poszedł.

Przyjechał do nas i powiedział, że on już wszystko wie. Rozgryzł tajemnice nazwisk i pseudonimów. Odkrył kulisy redakcji. Horodyński jak wypuści jedno „o" to zaraz piszę mową wiązaną (kiepsko wiązaną ale zawsze). Podobno także Zabłocki to jest Wnuk Jakimiaka, zaś Rostworowski to pseudonim Kętrzyńskiego, Bieszczadowski i Konarska Łosiowa to jedno. Pewne tylko jest, że Lichański to nie Lichniak.

Więc ja proszę w imieniu zdezorientowanych czytelników o zaniechanie tych pseudonimowych harców. Do tego już doszło, że ludzie gotowi sobie pomyśleć, że ten list pisał jeden z szanownych redaktorów, a nie Wasz oddany sympatyk

Teofil Głąb

Redaguje zespół.
Prenumerata miesięczna 1.80 zł Kwartalnie 5.40 zł
Adres Redakcji i Administracji Mokotowska 43 I p. tel. 880 71 880 26
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3 Zam 3442. 3-B-29808.